XIĄDZ
DOBROCZYN.
ALBO
OBRAZ MIŁOSIERDZIA
DRAMA
w Trzech Aktach,
po Polsku napisane.

O! jak jesteśmy nieszczęśliwi na ten czas, kiedy strapionych bliźnich naszych niczém więcéy pocieszyć nie możemy, prócz okazania litości,

Dobroczyn AKT I. SCENA V.

Cena - - złł: 4.

---

w Wilnie
w Drukarni XX. Bazylianów.
Roku 1809.

Ukryć przed lewą ręką, co czyni prawica,
Wspierać, nie wchodząc, jaka upadku przyczyna.
To tylko miłosierne uczynki zaszczyca.
Taki tu jest wyryty Obraz Dobroczyna
Więc ja, co nieszczęśliwym, tę fiarę daję
Pozwólcie niech me imie przed Wami utaj[illegible]

Za pozwoleniem Cenzury Wileńskiey

SZANOWNEMU

TOWARZYSTWU

DOBROCZYNNOSCI

połączonemu

NA RATUNEK NIESZCZĘSLIWYCH

w WILNIE.

RZECZ POPRZEDZAJĄCA.

Opatrywać pierwsze do życia potrze-
„ by nie maiącym i mieć nie mogą-
„ cym żadnego do utrzymania się sposo-
„ bu, obmyślać zarobki mogącym jesz-
„ cze pracować; jednać poróżnionych;
„ dawać pomoc uwikłanym w pienia-
„ ctwo; ratować chorych, którzy nie są
„ w stanie leków i lekarza opłacać; te
„ są zamiary, to przedsięwzięcie Towarzystwa Dobroczynności
„ nowo utwierdzonego w Wilnie.„ (1.) Jak święte obowiązki! jakiego uwielbienia godzien związek tak chwalebny; wyobrazić to należycie, zdolność nawet moią przechodzi. — Wydaiąc przeto na widok publiczny ten OBRAZ MIŁOSIERDZIA, użyć go przyzwoiciéy nie mogę, jak wydać go pod zaszczytem tego Szanownego Zgromadzenia.

Gdyby mi wolno było weyrzéć w przeznaczenie, wnosiłbym sobie, że to stało się zrządzeniem, żeby ta książeczka, będąc napisaną w Roku 1804. leżała dotąd odłogiem: lecz wcale inna tego była przyczyna. Zwracaiąc mą uwagę na tylu Autorow, (których dzieła policzone są między użyteczne) że nie bardzo dobrze wychodzą ze swemi pismami; z tém to słabym (jak to zwykli trzymać o dziełach Teatralnych wiele o sobie rozumieiący mędrkowie) i nic nieznaczącym; popisywać się nie odważyłem; co mi na lepsze wyszło; ponieważ wydaiąc go pod za-

(1.) Ustawy Towarzystwa. §.

szczytem Szanownego Towarzystwa, przewiduję użytek i przysługę, jaką tym zrządzić mogę społeczności.

Nim jednak przystąpię do przełożenia mego zamiaru, mniemam że nie wykroczę, gdy przy tém rysunku miłosierdzia, jaki się tu wydaje, okażę niektóre miłosierne uczynki, jakie tuteysza Publiczność dopełniała i dotąd ciagle dopełnia na wsparcie *cierpiącey ludzkości.*

Nie sięgając dawnieyszych wieków, dosyć jest zwrócić naszą uwagę na lata teraznieysze, to jest: od czasu przyłączenia tuteyszych Prowincyów pod Panowanie Rossyyskie; a Wilno bez narażenia prawdy, może bydź nazwane *Stolicą Miłosierdzia.*

Zamilczam tu o niezliczonych prawie uczynkach, dopełnianych przez osoby rozmaite na podporę nieszczęśliwych, jakie się działy i dzieją prywatnie: i nie namieniam tu o innych, tylko o tych, co były czynione publicznie, a niektóre z nich już są przez pisma podane do wiadomości.

Pamiętny, i ze wszech miar godny pamięci Kapłan DAWID PILCHOWSKI Biskup Echineńfki, Sufragan i Koadjutor Katedry Wileńskiey, jak całe swe życie przepędził na uczynkach miłosiernych, tak też i po zeyściu swoim uczynił wieczno trwałą pamiątkę, zostawując fundusz na życie i edukacyą kilkunastu sierot stanu szlacheckiego i mieyskiego. Naypierwszy s. p. Dominik i pozostała wdowa Marcyanna Mórawscy Antreprenerowie Teatru tuteyszego, wprowadzili chwalebny zwyczay dawania corocznie Bene-

ſsu na szpitale; (2.) co od owêy daty dotąd, zawsze przez Antreprenerów jest dopełniane.

Naypierwszy Amatorski Koncert dany na wsparcie szpitalu PP. Miłosiernych, wynalazkiem jest Jaśnie Wielmożnéy Maryi z Andrzêykowiczów, Baronowéy B e n i n g s e n o w é y na ten czas Wojennéy Litewskiey Gubernatorowéy, która dobrawszy do tego doskonałych Muzyków, osób Dystyngowanych, dała tén pierwszy Koncert, gdzie okazała przyiemność i doskonałość swego talentu. Jaśnie Wielmożna L a c h n i c k a teraz Marszałkowa Wileńska, i z drugą dobraną damą, zatrudniały się utrzymaniem kassy, i rozdawaniem biletów, Hoyność tkliwey tuteyszey Publiczności, odpowiedziała tak chwalebnemu i dotąd nie praktykowanemu wynalazkowi: ſala była napełniona ſłuchaczami uwielbiającemi talenta popisujących się *Wirtuozow*, i zamiar przewodniczki. Ten Koncert znaczną wniosł summę na zasilenie cierpiących.

Naypierwszy zaś Koncert na ratunek chorych nie mających sposobności opłacenia lekarstw i lekarza, był dany na tuteyszym Tearze, przez Wielmożnę JPanią K r y s t y n ę F r a n k o w ę żonę Professora Kliniki przy IMPERATORSKIM Wileńskim Uniwersytecie, która jedynie na ratunek nieszczęśliwych poświęciła przyiemny swóy talent, sam zaś

(2.) To było Roku 1796. Tégoż Roku dany był przez Antrepryzę Beneſis, na wsparcie pogorzałéy ſamilii.

JPan Frank, z dobranemi do swoiey pomocy członkami ofiarował swoią posługę w leczeniu chorych bezpłatnie, i to było pierwszym krokiem, do exystującego dziś w Wilnie Towarzystwa Dobroczynności. Koncerta na ten przedmiot od téy daty aż dotąd co-rocznie przez tę Panią dawane bywaią (3.) z czego wielu nieszczęśliwych odbieraią ratunek zdrowia.

(3.) W roku teraznieyszym 1809, prócz danego na ten przedmiot Koncertu przez Wielmożną Frankowę, uczynił znaczną ofiarę sam JP. Frank: dał swym staraniem i niezmiernym kosztem, w sali Ratuszowéy wielkie Oratorium, kompozycyi sławnego Haydena, pod tytułem: STWORZENIE SWIATA, na ten koniec wierszem po Polsku przetłumaczone; które to Oratorium exekwowało z góro sto osob muzyki, i więcéy 50 wokalistów śpiewaiących chóry, JPani Frankowa, z dobranemi dwóma wokalistami, śpiewała Sola. Pierwsze takowe Oratorium, dane było dnia 17go Lutego: że zaś chociaż zbyt ogromna sala tego wieczora nie mogła obiąć żądaiących być na tém spektaklu; powtórzono go dnia 19go, tego miesiąca. Weyście od osoby na pierwsze mieysce było Rubli 3 srebrem, na galerią Rubel 1. Dołożyć do tego dobrowolne ofiary nad oznaczoną cenę; jak tuteysza Publiczność zwykła czynić w każdém podobném zdarzeniu; ztąd wnosić można, jak wiele troskliwość i staranie JPana Franka Prezesa 3go wydziału TOWARZYSTWA DOBROCZYNNOSCI, prócz osobistéy posługi wraz z drugiemi Członkami Towarzystwa tegoż Wydziału, przykładą się do ratunku nieszczęśliwych.

Towarzystwo Kazinowe za Dyrekcyi JWgo Kazimierza Sulistrowskiego, teraznieyszego Marszałka Guberńskiego Wileńskiego, przed kilko laty, dało w ostatni Wtorek zapustny naypierwszą wolną Maskaradę dla wszystkich, przychod zaś zabilety był obrócony na wsparcie tych, co będąc bez sposobności, niemogą się odważyć na żebraninę. Jeżeli tedy z jedney strony widziémy wielu nieszczęśliwych, z drugiey strony dostrzegamy, że społeczność tuteysza obmyśla rozmaite środki do położenia tamy cierpieniu.

Dla dopełnienia tak chwalebnego zamiaru, połączone zostało Towarzystwo Dobroczynności, którego prawie węgielnym kamieniem założył godnypamięci mąż, JW. Jan Nepomucen Kossakowski Biskup Wileński. Czuły i troskliwy ten Pasterz, przy zeyściu nawet swoim z tego świata, nie zapomniał o swojey budowli, i 20,000. złł: Kapitału testamentem na nią zapisał. Związek ten tak chwalebny, ujął serce Miłosiernego MONARCHY ALEXANDRA I. który ten zakład nie tylko Nayłaskawiey potwierdził, ale też dobroczynnie dziesięć tysięcy Rubli Kapitału udarował. Osoby składające to Szanowne Zgromadzenie, prócz trudów dobrowolnie na siebie przyiętych w dawaniu ratunku nieszczęśliwym, prócz ogólney składki wnoszoney corocznie do Kassy Towarzystwa, każdy z połączonych, ma sobie jakoby zą

prawo przykładać się udzielnie do sprawienia ulgi cierpiącym niedolę.

Co tylko tu jest wyszczególniono, to jest prawdą bez naymnieyszéy wątpliwości, prawdą, na którą oczy nasze zapatrywały się, i dotąd się zapatruią, prawdę stwierdzoną i obiawioną przez pisma Publiczne; nie słusznież Wilno powinno bydź nazwane *Stolicą Miłosierdzia*?

Pozostaje mi jeszcze jako Autorowi tego Dramatu, odpowiedzieć tym, co ſztukę Dramatyczną maią za bardzo małą drobnostkę, że trzeba mieć bardzo wiele prawideł na baczności, żeby ją wydać należycie. Uważmy przy tém, co o teatrze pisze znany Nauczyciel Literatury w IMPERATORSKIM Wileńskim Uniwersytecie. (4.) „Komedya tedy swoim widokiem rozweselając tych, którzy nie „dla zabawy przychodzą, poprawia ich „razem i naucza, zwłaszcza, kiedy w przyzwoity sposob dowcipnie rzecz pod „różnemi postaciami wystawia, na czém „téy cała sztuka zawisła, a tak, Komedya płochość zawstydza, dumę upokarza, przesądy zbija, nierzetelność, obłudę, chciwość i wiele innych rzeczy, „żywemi kolorami w skutkach swoich odmalowawszy, zaledwo nie więcey dokazuje, niżeli gorliwy mówca na naypoważnieyszém mieyscu. Filozof przeciw występkowi rosprawia, Mówca go „gromi, Satyryk przesladuje, Komedy-

(4.) X. Gołanski w Dziele o Wymowie i Poezyi, Traktat o Dramatyce.

„ ant nie natarszy wstępnym bojem, sa- „ mym z nim szydzeniem wojuje„. Zdaje się. dosyćby to było na przekonanie, że sztuka Dramatyczna, między innemi ſztukami użytecznemi, zawsze powinna bydź umieszczona. Ale zwróćmy naszą uwagę na co innego. Autorowie dzieł Teatralnych, chociaż sami z swéy pracy nie korzystają, (5.) tę przynaymniey mają zaletę, że ich pisma ponoszą Antreprenerów, żywią i wspomagają Aktorów, a przy tém bardzo wielu innych, bez których posługi Teatr obeyść się nie może. Przypomniymy sobie także daną reprezentacyą Trajedyi przez Amatorów dnia 1. Maja 1808. i drugą dnia 22. Stycznia 1809. Roku, a uyrzemy, ile te dwa wieczory wnieśli do Kassy Towarzystwa Dobroczynności! (6.) Przebieżmy także myślą wszystkie spektakla dawane corocznie po kilka ich, już to na szpitale, już na wspar-

(5.) „ chociaż sami z swéy pracy nie korzy- „ stają„ To nie ma się rozumiéć o wszystkich Narodach oświeconych,

(6.) W te dwa dni, dana była Trajedya, pod tytułem F e d r a, z Francuzkiego wybornie wierszem Polskim przez Xawerego Chomińskiego Wojewodę przeszłego Mścisławskiego tłumaczona, grana przez zacne grono Obywateli, na pomnożenie ſunduszu T o w a r z y s t w a D o b r o c z y n n o ś c i. Za pierwszym razem, podług urzędowego doniesienia, weszło do kassy Rubli srebrnych 2,749. kop: 80, nie licząc w to dość znacznego wydatku, jakiego wymagała wystawność téy sztuki, światło, muzyka, posługa, za pozwolenie teatru JPanu Każyńskiemu Rubli 150. a w ogule cą-

cie jakiey podupadłéy familii; (co się bardzo często wydarza) zaczowszy od pierwszego, który był dany przez ś. p. Dominika Mórawskiego, w Roku 1796. a skończywszy na têm, co był dany przez

łego wydatku Rubli 722. kopiejek 50. Nie licząc do tego przepysznych ubiorów, które każda osoba grająca w téy Trajedyi, udzielnie swym expensem dla siebie sporządzała.

Osoby, które w têm dniu grali takową Trajedyą.

TEZEUSZ Król Ateński, JWny Józef Graf Mostowski.

FEDRA jego żona Królowa Ateńska, J Wielmożna z Hrabiów Potockich, Grafini de Choiseul.

HIPOLIT syn Tezeusza z pierwszey żony Antiopy, J Wielmożny Romer Prezydent.

ARCYA Xiężna z krwi dawnych Królów Ateńskich, J Wielmożna Maria z Andrzeykowiczów — Baronowa Beningsenowa.

ENONA mamka i konfidentka Fedry, JWielmożna z Xiążąt Radziwiłłów Mostowska.

TEREMAN Guwerner Hipolita, Iaśnie Wielmożny Graf Seweryn Rzewuski.

ISMENA konfidentka Arcyi, Wielmożna Grafini Platerowa.

PANOPE jedna z Dam Dworskich, J Wielmożna z Xiążąt Lubomirskich Tyszkiewiczowa.

Drugim razem, taż Trajedya dana była w czasie Elekcyi Urzędników Guberńskich i Powiatowych Gubernii Litewsko-Wileńskiéy, aże od pierwszéy reprezentacyi pozostałe Rekwizytą

dzisieyszego Antreprenera JPana Każyńskiego o dnia 5. Grudnia 1808. Roku na Dobroczynność, (7.) a weźmy na uwagę, ile ta drobnostka przyłożyła się do pomnożenia funduszów miłosiernych? ile przytém zasiliła potrzeb podupadłych? Małoletnie dzieci nawet, i te idąc za chwalebnym przykładem starszych, mają sobie za roskosz, przez sztukę Teatralną dopomagać bliźnim i wiele przez nią dokazuią (8.) Na koniec, rzućmy okiem

zmnieyszyły znacznie wydatek: z tego więc można wnosić, że przychod z téy reprezentacyi, mógł bydź wyrównywający pierwszemu.

Osoby grające tego dnia.

FEDRA - -	JW.	Grafini de Choiseul.
TEZEUSZ -	JW.	Graf Rzewuski.
HIPOLIT -	JW.	Prez. Romer.
ARCYA - -	JWna	Mirska.
TEREMAN -	JW.	Podkom. Chodźko.
JSMENA -	JWna	Szumska.
PANOPE - -	JWna	Balinska.
ENONA - -	Wna	Marcyan. Morawska.

(7.) Tego dnia było grane Drama pod tytułem: *NIENAWISC LUDZI i ZAL.* Podług urzędowego doniesienia, weszło do kassy 2,251 Złotych i groszy 15. Nie licząc w to uczynionéy ofiary przez Muzykę oficialistów i innych posługaczów Teatralnych, którzy zwykli bydź płatnemi od każdey reprezentacyi udzielnie, ci tego dnia odstąpili swey należności, która podług podania samego Antreprenera wynosi w ogule summę Rubli 45.

(8.) Dnia 26 Sierpnia 1808 Roku, Kompania

na czasy następne, a zapewnie dostrzeżemy, że kassa Towarzystwa Dobroczynności, przez sztukę Dramatyczną co-rocznie będzie pomnażaną, (9.) a przy tém wielu nieszczęśliwych mogą przez nią otrzymać wsparcie i zasilenie swych potrzeb: to tedy przekonywa, że sztuka Dramatyczna nie jest małą bagatellą, jak tam komuś podobało się o niéy sądzić. Prawda, że bardzo wiele namnożyło się dzieł tego rodzaju nie miłosiernie napisanych, ale cóż temu Dramatyka jest winna? Jeżeli więc to dzieło ściągnię od kogo na siebie krytykę, na ten czas błędy i wady w nim dostrzeżone, powinne bydź przypisane niedoskonałości Autora, a nie dramatyce.

Nie wątpię o tém, owszem pewny je-

Amatorów złożona z małoletnich; grała na wielkim Teatrze (na zysk swey rówienniczki JPanny Barbary Hrehorowiczówny) Francuzkie Drama, napisane przez Autora *Berquin* pod tytułem: *Le BON FILS*; po czym dana była Opera przez tuteyszych Aktorów, pod tytułem: *MARKIZ TULIPAN*. Przychod z tego Spektaklu obrócony został na opłacenie roczney pensyi na edukacyą tey Panienki, która w Dramacie grała pryncypalną Rolę, to jest: Izydora *Dobrego Syna*. Na zaletę tego dziecka, to należy dołożyć, iż będąc w Roku 9m wieku swego, już jest dobrą Aktorką tak Polską, jako też Francuzką, w przyszłości zaś wielką czyni nadzieię wielkiey w tey sztuce doskonłości.

(9,) Co nawet samo Towarzystwo, słusznie sobie obiecuje. Czytać o tym *Ustawy TOWARZYSTWA*, §, IV.

stem, iż znaydą się tacy, co w tém dziełku upatrzą wady, to mnie jednak bynaymniey obchodzić nie będzie; ponieważ znam to z doświadczenia, że łatwiey jest nayiepszą rzecz zkrytykować, niżeli jakąkolwiek zrobić.

Przy tém, znając do siebie, że nie mogę pisać się w rzędzie Autorów, napisawszy to drama, nie mogłem bydź pewnym o jego dobroci, i dawałem go wielu osobom posiadaiącym oświecenie i znajomość teatru do przeczytania, przyymowałem z wdzięcznością rozsądne ich uwagi, poprawiałem błędy, i póty sam nie byłem pewnym o jego dobroci, póki od innych za takie nie zostało osądzone. Niechże się teraz krytyk ma na ostróżności: i daje swoje zdanie na dobrym fundamencie, żeby czasami zamiast zastanowienia się nad swoim zdaniem, na litość nie zarobił.

Do tego, zamilczaiąc tu o moim imieniu, jako nie szukam dla siebie żadnéy chluby, tak też krytyka mi szkodzić nie będzie. Żądam tylko przez wydanie tego dziełka na widok Publiczny, dopełnić powinność człowieka. Ofiaruię go więc na wsparcie jednêy podupadłêy familii, która, jeżeli choć na czas jaki otrzyma zasilenie swych potrzeb, będzie go winna temu Szanownemu Towarzystwu, pod którego zaszczytem czynię tę moją posługę cierpiącéy ludzkości.

Do WAS teraz obracam rzecz moją Przezacne Towarzystwo! Wiadomo jest z Was każdemu, że każdy za swoją pracę, śmiało żądać może nadgrody, którą spodziewam się, że mi od WAS wymierzo-

ną zostanie. Upraszam tedy jak naypokorniéy, ażeby (jeżeli to drama zostanie uznane od WAS i Publiczności, za godne okazania na tuteyszym Teatrze) naypierwſza jego reprezentacya, niech będzie dana prosto na pomnożenie Kassy **Towarzystwa Dobroczynności**. Pewny jestem, że JP **Każyński** Antreprener, który tyle dał dowodów przyiacielstwa *cierpiącey ludzkości*, który nie mało nieszczęśliwych wsparł przez dawanie im benefisów, i który jest członkiem Towarzystwa; przyymie z naywiększą ochotą to moje postanowie, do którego mam prawo, jako Autor dzieła.

XIĄDZ DOBROCZYN,

ALBO

OBRAZ MIŁOSIERDZIA,

DRAMA.

OSOBY.

DOBROCZYN, Kapelan szpitalu.
CHILARIA. Przełożona.
MECHTYLDA, Fórtyanka.
ZOFIA, Siérota.
WIRBUT, Chory w szpitalu.
ZUZANKA, Jego córka.
WALNICKI, Kapitan powracając z niewol
ALBERT, starzec.
KWARTALNY.

Zakonnice.
Siéroty obojéy płci.
Zołnierze.
Dziesiętnicy.

SCENA w WILNIE.

AKT I.

Teatr okazuje Salę, kilkanaście dzieci obojey płci siedzą nad książkami.

SCENA I.

ZOFIA i SIEROTY

ZOFIA (*chodzi koło dzieci.*)

POŁOZCIE dzieci wasze książki, czas jest nam przygotować się na dzisieyszą naukę, żebyśmy mogli odpowiedziéć na zapytania Xiędza Kapelana tyle przynaymniéy, ile nasza zdolność pozwoli.

SCENA II.

Ci sami. ZUZANKA.

ZUZANKA. (*Bardzo zapłakana całuje rękę Zofii.*)

ZOFIA.

Dzień dobry kochana Zuzaneczko! Cóż to ci zrobiono, że tak bardzo płaczesz?

Zuzanka. (*Szlochając.*)

Mego tatunia dziś poprowadzą.

Zofia. (*Przelękniona.*)

Jak to? (*Tu zaczynają dzwonić.*) Jdźmy dzieci na katechizm, już dzwonią.

Zuzanka. (*Zawsze płacząc.*)

Panna starsza kazała WPannie powiedzieć, żebyś WPanna tu zaczekała na mego tatunia, a dzieci żeby same poszły na naukę.

Zofia.

Tatunio tu przyydzie?

Zuzanka.

Tak jest. (*Tu przestają dzwonić.*)

Zofia.

Jdźcie dzieci, a słuchaycie z uwagą, żebyście mi powtórzyli zapytania i odpowiedzi zadane na téy nauce.

SCENA III.

ZOFIA, ZUZANKA.

Zofia. (*Ociéra oczy.*)

Czegoż tak bardzo szlochasz Zuzanko? (*Ociéra oczy Zuzance.*)

ZUZANKA.

Podobno tatunio chce mnie zostawić.

ZOFIA (*na boku.*)

Nieszczęśliwy! Ach! jakaż boleść ogarnia serce moje.

SCENA IV.

Ciż sami: WIRBUT.

WIRBUT. (*Bardzo zmartwiony*)

Zuziu! idź do Panny starszéy, potrzebuje ciebie.

ZUZANKA.

Tatunio wszędzie się mnie pozbywa.

WIRBUT.

Moje dziécie! niepomnażayże ty mnie umartwienia, nie dręcz ty serca mego! Moja Zuziu! proszę cię! słuchay mnie, idź do Panny! . . Ja mam co do mówienia z Panną Zofią.

ZUZANKA. (*Całuje w rękę oyca, i przyciska do piersi.*)

Tatuniu! niech ja choć raz jeden tatę obaczę! Niech tatunio nie odjeżdża póki ja z tato nie pożegnam się.

W i r b u t. (*Sciska ją i całuje.*)

Przyrzekam ci to miła Zuziu, sam nie zniosę tego, ażebym się z tobą nie miał widzieć.

Z u z a n k a. (*Załamując ręce odchodzi.*)

O Ja naynieszczęślwsza!

W i r b u t. (*Pogrążony w żalu patrzy moment za odchodzącą.*)

Mościa Panno! Dzień naywiększego mego nieszczęścia już się zbliżył: w tych murach odzyskałem zdrowie, któregom nigdy nie żądał, śmierć bowiem sama znośnieyszą by mi była nad to udręczenie, którym serce moje w tém momencie jest uciśnione, a tysiąc razy znośnieysze nad te, które mnie czekają.

Z o f i a.

W takowém razie, przytomność córki, zdaje się mu bydź naypotrzebnieyszą: dla czegóż ją WPan postanowiłeś zostawić?

W i r b u t.

Czynię to celem jéy uszczęśliwienia. Przytomność jéy bowiem nie tylko, że nie ulżyłaby moich trapień, ale co moment bardziéyby je pomnażała. Wystaw WPanna sobie więźnia obciąże-

nego kaydanami, pracującego ustawicznie koło reparacyi murów fortecy, cały jego dochod dzienny trzy grosze Pruskie: na ten czas córka jego uważana jako dekretowanego występcy, nie stałażby się celem pogardy? Gdzieżby to dziécie znalazło dla siebie przyzwoite wychowanie? Czułe jéy serce mogłożby znieść ustawiczną nędzę i pohańbienie oyca? W końcu, co ją czeka za dóyściem do lat? Zostawiona bez edukacyi, zaniedbana i pogardzona od wszystkich, nie zostanież przymuszoną naycięższą pracą wyrobić suchy kawałek chleba na opędzenie głodu, albo, co gorsza, zapomniéć na obowiązki uczciwości?... Ach! samo to wspomnienie w rospacz mnie wprawia. Sądź że teraz WPanna, jaką jéy przytomność sprawiłaby mi ulgę w moim nieszczęściu?

ZOFIA.

Jakim-że WPan sercem będziesz mógł znieść rozstanie się z tak lubém dzieckiem?

WIRBUT.

Jeżeli tylko moje życzenia wezmą pożądany skutek, tedy jedno pomyślenie, że ją zostawiam pod dozorem

czułéy, cnotliwéy i szanownéy osoby, jedno pomyślenie na to, że będzie prowadzoną naypiękniéy, że serce będzie miała kształcone nayforemniéy, że posiadając te szacowne przymioty, co posiada osoba, gdzie ją zalecić umyśliłem, nie może bydź nieszczęśliwą: to tedy jedno pomyślenie, nie tylko w moment rozstania się z nią, ale przez cały przeciąg nędznego życia mego, osładzać mi będzie nayprzykrzeysze serca goryczy.

ZOFIA.

Niechże się mu stanie podług życzeń jego! niech się stanie! to jest naywiększym moim żądaniem.

WIRBUT.

Za te czułe życzenie, bardzo jéy dziękuję. Teraz właśnie zwierzyłem się méy myśli Pannie starszéy, ta dobra pani pochwaliła móy układ, i przyobiecała umieścić Zuzię u jakiéy ludzkiéy pani, a témczasowie przyymuje ją na fundusz klasztorny.

ZOFIA.

Przyrzekła to WPanu? więc możesz bydź pewnym dobrego losu córki. Nie piérwsze to dziécie, któremu ona przyrzeka pomoc swoją; a każde

za jey starannością wyszło bardzo szczęśliwie: i zdaje się, że gdy ta Pani wzieła jego córkę na swoje staranie, możesz już bydź względem jéy zupełnie spokoynym. Maszże WPan jeszcze jakie inne żądanie? Jestże jeszcze kto inny, komu WPan chciałbyś powierzyć ten skarb tak szacowny sercu jego?

WIRBUT.

Tak jest MPanno. Właśnie prosiłem Panny starszéy, żeby pozwoliła z WPanną pomówić o tém.

ZOFIA.

Ze mną? Cóż ja mogę mu w tém poradzić.

WIRBUT.

Wszystko: aby tylko jéy wola nastąpiła. Nie odmómiszże WPanna méy prozbie?

ZOFIA.

Co tylko będzie w mojéy mocy, to wszystko możesz się WPan spodziéwać, bez naymnieyszéy wątpliwości.

WIRBUT.

Dobroć serca WPanny w tém, jest mi naywiększą rękoimą... To tylko: przyymiy, proszę, moją Zuzię pod swo-

ją opiekę! Przyymiy ją za swoją córkę! a tém zrządzisz jéy szczęście, a zaś jéy oycu sprawisz pożądaną spokoyność.

ZOFIA.

Panie Wirbut!.. Zastanowił-żeś się nad swoim wyborem? Zastanowił żeś się nad moim stanem? Jedna biédna siérota żyiąca z funduszu, możeż zrządzić komu uszczęśliwienie?

WIRBUT.

Z podobnémi przymiotami, jakiémi cię dobroczynna ubogaciła opatrzność, nie jednemu możesz zrządzić uszczęśliwienie. Niech tylko moja Zuzia póydzie za WPanny przykładem, a już jest zupełnie szczęśliwą.

ZOFIA.

Zawstydzasz mnie WPan. Wszelako, jeżeli WPan znaydujesz mnie bydź zdolną do opiekowania się jego córką, chętnie przyymuję na siebie ten obowiązek. Jednak-że wiadomo WPanu, że bez woli starszéy Panny, nic mu przyrzec nie mogę.

WIRBUT.

Uprzedziłem ją moją prozbą, wyznałem jéy moie żądanie, pochwaliła

móy wybor, zapewniła oraz, że WPanna z całego tuteyszego szpitalu, ile w teraznieyszéy porze, jedna tylko jesteś, co możesz sprawić wieczną ulgę udręczonemu sercu strapionego oyca.

ZOFIA.

Kochana matka! Łaskawa moja dobrodzika! Tak jest: chcę jéy tém zawdzięczyć pieczołowitość, którą miała w moiém wychowaniu, chcę iść za jéy przykładem. MPanie Wirbut! tyle do WPana Zuzi mam przywiązania, że za naywiększą roskosz poczytałabym sobie, zatrudniać się zawsze jéy wychowaniem, a tém bardziéy teraz, gdy w tém zachodzi wola mojéy łaskawczyni. Jeżeli tedy potrafię ukształcić serce Zuzi podług WPana żądania, jeżeli będzie kiedy szczęśliwą? wszystko to będzie winna téy Pani: ponieważ to, co ja tylko posiadam; jéy jestem winna. Będąc córką niewiadomo czyją, podrzucona w koło do Dzieciątka Jezus w Warszawie; zrządzeniem Naywyższego, dostałam się do niéy na wykarmienie: od niemowlęcich lat moich, tyle ku mnie powzieła przywiązania, że przez ośm lat wysługiwała się w szpitalu

jedynie dla tego, żeby się mogła zatrudnić moiém wychowaniem, a wyznaczone godziny do odpoczynku po ciężkich pracach, łożyła na ukształcenie serca mego; i w każdym roku tyle dokazywała, żem zawsze wyższą była w naukach, nad moje rówiennice. Po wysłużeniu lat ośmiu, za zgodą całego zgromadzenia, została policzoną w grono Siostr Miłosiernych, a teraz jest wybraną na starszą do tuteyszego szpitalu: nie chciała jednak piérwéy przyjąć tego obowiązku, aż nim mnie razem z nią nie uwolniono. Za to tedy jéy staranie w moiém wychowaniu, za tę miłość, którą w każdém punkcie usiłuje mi okazać; mogęż inaczéy zawdzięczyć, jak tylko udać się za jéy przykładem?... Od dawna życzyłam sobie zatrudnić się opieką jakiéy siéroty, jakże mnie to cieszy, że ten los padł na córkę WPana! życzę jéy jednak lepszego.

WIRBUT.

Nie omyliła mnie moja nadzieja... Widzę się teraz bydź nayszczęśliwszym, ze wszystkich ludzi będących w równym ze mną położeniu.

ZOFIA.

O gdyby to Bóg odmienił!...(*Tu*

słychać dzwonienie.) Cóż to jest? tak prędko po nauce, to coś nadzwyczaynego.

SCENA V.

Ci sami: DOBROCZYN.

Zofia spotyka i całuje w rękę Dobroczyna, Wirbut kłania się.

DOBROCZYN.

Dzień dobry kochana Zosiu!.. Kłaniam Panie Wirbut. WPana córka nabawiła nas teraz bardzo wielkiéy trwogi, i dla tego musiałem tak wcześnie rospuścić dzieci z nauki.

WIRBUT.

Jak to Mci Dobrodzieju?

DOBROCZYN.

Panna Mechtylda wprowadziła ją na salę dla rozerwania myśli, mnie z porządku wypadło mówić o miłości rodzicielskiéy: ta biédna dziewczyna przez cały ciąg nauki ciężkie wydawała łkania. W tém Karolinka siérota z twego wydziału Zosiu odezwała się: „jak jestem nieszczęśliwa, że nie znam moich rodziców i nie mogę okazać im téy miłości, jaką w ten mo-

ment ku nim serce moje jest przejęte!" Zuzanka krzykneła na to mocnym i tkliwym głosem: "ja daleko więcéy jestem nieszczęśliwą, że znam mego tatunia!" Po tych słowach padła bez zmysłów, porwali ją konwulsye, i to nam pomieszało całą naszą naukę.

Wirbut. (*Przerażony.*)

Nieszczęśliwa córka! (*Chce biedz.*)

Zofia. (*z żalem.*)

Biédna Zuzia! (*Biegnie za Wirbutem.*)

Dobroczyn. (*Wstrzymuje ich.*)

Zatrzymaycie się!.. Panna starsza wzieła ją do swéy celi, i zaleciła naywiększą spokoyność. Właśnie przyszedłem ostrzedz WPana, żebyś teraz jéy nie pokazywał się. Przytomność jego, zapewne pomnożyłaby boleści temu czułemu dziecku. Do ciebie zaś kochana Zosiu, ważny mam interes.

Zofia.

Wiadomo WPanu Dobr: że w téy godzinie mam wyznaczone lekcye, za moment dzieci nadbiegną, a zatém czas mi nie dozwala.....

DOBROCZYN.

Panna starsza dla uwolnienia ciebie od téy lekcyi, dała wszystkim dzieciom rekreacyą.

WIRBUT.

Przytomność tedy moja może tu nie jest potrzebna. (*Chce odéyść*)

DOBROCZYN.

WPan bynaymniéy nam nie przeszkadzasz, interes zaś nie jest tak nagły, a Zosia jest dziś uwolnioną od wszystkich lekcyów... Ale! Słyszałem, że WPan masz dziś bydź odprowadzonym do Prus.

WIRBUT.

Tak jest Mci Dobrodzieju.

ZOFIA. (*Wzdycha.*)

Ach!

DOBROCZYN. (*Spogląda na niego miłosiernie, ociera nieznacznie chustką oczy i mówi na boku.*)

O! jak jesteśmy nieszczęśliwi na ten czas, kiedy strapionych bliźnich naszych, niczém więcéy pocieszyć nie możemy, prócz okazania litości.... (*Do Zofii.*) Dobra Zosiu! muszę ci podziękować za twoją pilność w

prowadzeniu dzieci twego wydziału: wszakże to wydziwić się nie można ich statkowi. Jch przyjemne ułożenie, prędkie postępowanie w naukach, przytomność w odpowiedziach i rostropność w zapytaniach, wiek ich i lata przewyższają. A wszakże to inne pokilka lat mając poruczone sobie wydziały, nie ukształciły tak pęknie powierzonych sobie dzieci, jak ty w tém półroczu: to mnie cieszy, to mnie bardzo cieszy! (*Bierze ją za rękę.*) To mi zawczasu wróży, że będziesz swego czasu nieoszacowanym skarbem swemu małżonkowi, (*Zofia spuszcza oczy.*) będziesz naylepszą matką swém dzieciom.

WIRBUT.

Będzie naylepszą matką méy córce. A ty łaskawy Panie, bądź jéy oycem, bądź jéy opiekunem, na miłość Boga proszę cię! (*Pada do nóg.*)

DOBROCZYN.

Wstań oycze nieszczęśliwy! Przyrzekam ci w obliczu Boga zatrudniać się jéy losem. Ze zaś Zosię obrałeś jéy za matkę, nie mogłeś uczynić lepszego wyboru. Zuzia będąc pod jéy opieką, będzie szczęśliwą, zaręczam.

Wirbut. (*Staje między Dobroczynem i Zofią.*)

Będzie szczęśliwą, jestem naypewnieyszy!.. O dobry Panie! (*Całuje w rękę Dobroczyna.*) Miła Panno! (*Całuje rękę Zofii.*) Dobroczynność wasza zdieła z serca mego połowę ciężaru, a wznieciła w nim miłość i wdzięczność. Brząkając kaydanami we wnątrz Fortecy Szpandau, nie przestanę wielbić Boga i błagać Jego Majestat za moich dobroczyńców.

Zofia. (*Wzdryga się*)

Dobroczyn. (*Ponurzony w żalu*)

Nie miałem w prawdzie nigdy żadnéy ciekawości, ani wybadywałem się w życiu moim nikogo o nic. Ale tèraz zastanawiam się nad tém, jak WPan posiadając tak czułe serce mogłeś dopuścić się wyſtępku, ściągającego za sobą tak wielką karę?

Wirbut.

Można bydź występcą, nie myśląc nawet o występku.

Zofia.

WPan więc cierpisz niewinnie?

WIRBUT.

Jestem winien: wszelako nie jestem występcą. Zebym zaś w oczach waszych nie był poczytanym za takiego, muszę opowiedzieć móy występek: gdyż, jak uważam, ten przypadek nie jest tu wiadomy.

DOBROCZYN.

Powołanie nasze nakazuje bydź pomocą bliźniemu, nie badając się o ułomnościach.

WIRBUT.

Ja nie dopuściłem ſię naymnieyſzéy. Przed pietnasto laty, uniesiony litością nad stanem jednéy wdowy, wziołem jey syna na wychowanie, i dałem mu edukacyą przyzwoitą. Był dosyć poczciwym póty, póki nie miał zręczności poznania się z rospustną młodzieżą. Po podziele Polski, dostałem się na urząd do skarbu Króla Pruskiego, i miałem powierzony dozor nad Akcyzami. Zawierzyłem wychowankowi memu klucze od kassy. Przez kilka lat był mi wiernym, i miałem z niego wielką pomoc. Powodowany będąc interesami, wyjechałem do Warſzawy, i zoſtawiłem podług zwyczaiu w jego rękach cały

móy majątek, i kassę skarbową. W kilka tygodni dochodzi mnie wiadomość, że móy Rejestrator przegrał w karty wszystkie pieniądze skarbowe, i sam sobie śmierć zadał: ci, co jego ograli, rozbiegli się w różne mieysca, za któremi i śladu nie wzięto. Powracam skwapliwie, i o kilka mil przed miastem napotykam starego Alberta: który mimo wszelkiego niepodobieństwa obaczenia mnie, czekał na drodze z córką na moje spotkanie, opowiedział mi całą rzecz, dołożył przytém, że cały móy majątek jest zsekwestrowany, że posłano do Warszawy sztafetę, ażeby mnie ścigano, że wszędzie czatują szpiegi, ażeby mnie z chwytać i aresztować. Widząc się bydź bez naaymnieyszego sposobu ratowania, w padło mi wmyśl uchodzić za granicę, przystał na to stary Albert, i dostaliśmy się tutay. Ale wiadomo WPanu Dobr: że skarb nigdy nie szkoduje: dowiedziałem się, że moi poręcznicy opłacili szkodę a osoba moja, i cały majątek oddany został do ich woli. Doścњегли mojey ucieczki, tamteysza Kamera pisze do Rządu tuteyszego, i zostałem aresztowany. Po tylu nieznośnych dla mnie przypadkach, zapadłem w ciężką chorobę, i niewiem, za czy-

im to staraniem złożono mnie w tém szpitalu, gdzie teraz znayduje moja córka swych dobroczyńców.

DOBROCZYN.

Nie jesteś-że WPan wiadomém, co się z nim stanie?

WIRBUT.

Wiem już móy wyrok. Moi poręczmicy po opłaceniu summy do skarbu, zabrali to, co było u mnie w gotowiźnie, i cały móy sprzęt został sprzedany na ich uspokojenie. Brakuje jednak do utraconéy summy, tysiąc kilkaset talarów. Gdybym więc mógł zdobyć się na tę summę, osoba moja zostałaby wolna, inaczéy będę musiał póyść do Szpandau na wyrobek.

ZOFIA.

Tysiąc Talarow!

DOBROCZYN.

Znaczna summa, i nie tak łatwa do uzyskania.

WIRBUT.

O! gdyby móy upadek mnie jednego tylko dotykał, byłby mi daleko znośnieyszym, ile że moją Zuzię zosta-

wiam pod opieką szacownych mi osob! Lecz niestety!..

DOBROCZYN.

Cierpiż kto więcey z WPanem?

WIRBUT.

Człowiek nayniewinnieyſzy cierpi nędzę na Policyi, i dziś razem ze mną ma bydź odprowadzony.

DOBROCZYN.

Cóż to za jeden?

WIRBUT.

Znany tu staruſzek Albert, wspoł-towarzysz moiéy ucieczki, ten człowiek przez nieumiarkowany swóy zapęd utracił żonę, zniszczył maiątek, a teraz podobno razem ze mną dźwigać musi kaydany.

DOBROCZYN.

A to w jaki ſposob?

WIRBUT.

Poznałem go w lat trzy po moim ożenieniu się, ten człowiek był wielkim przyiacielem matki moiéy żony, którego znała od dzieciństwa. Pewny przypadek zrządził, że przeniosł się do mego domu z całym swym maiątkiem, zostawił u mnie ſwą żonę i wſzystko, pu-

ścił się w świat i nie powrócił aż w lat dwanaście. Ja na ten czas byłem już na moiéy funkcyi: powróciwszy nie zastał swoiéy żony, która we trzy lata po oddaleniu się jego ten świat pożegnała w zgryzocie i umartwieniu. Cały jego majątek składał się z sześciu set czerw: złł: a na drugie tyle można było liczyć w sprzętach: kleynotach i garderobie. Za powrótem jego oddawałem mu to wszystko, ten starzec prosił tylko o dochowanie siebie do śmierci, a to wszystko zapisał córce moiey. Ten tedy choć popędliwy, ale z naylepszą duszą starzeć, jako wspolnik mojéy ucieczki, jednеyże ze mną ma podlegać karze, jeżeli te tysiąc kilka set talarów nie zostaną złożone u poręczników.

DOBROCZYN.

Tysiącem talarów możnaby troie ludzi wyrwać z nieszczęścia!

ZOFIA.

A wielu innym zrządzić spokoyność i pocieszenie.

WIRBUT.

Kilka złotych ciężkie są do nabycia, a cóż dopiero myśleć o tak znacznéy summie?

SCENA VI.

Ci sami, MECHTYLDA.

MECHTYLDA.

Panie Wirbut, Zuzanka przywrócona do zmysłów, pragnie widzieć WPana, starsza Panna nie mogła jey tego odmówić, prosi tedy WPana do swojéy celi.

WIRBUT.

Naymilsza córka! Mości Dobrodzieju!.. Panno Zofio!. Pozwolcie mi jeszcze raz przed moim odjazdem moment widzenia się z sobą nie odmówcie tey łaski nieszczęśliwemu! (*Odchodzi, za nim Mechtylda.*)

SCENA VII.

DOBROCZYN, ZOFIA

DOBROCZYN.

Nieszczęśliwy Oyciec!.. jakżebym z duszy żądał go wyrwać z tego upadku!

ZOFIA. (*Porywa raptownie za rękę i całuie.*)

WPan Dobrodziéy nad nim się litujesz? WPan Dobrodziéy uczyniłbyś dla niego tak wielką ofiarę?

DOBROCZYN.

Tak jest, lituję się. Ale niewczesna tam litość, gdzie sytuacya nie odpowiada żądaniom. Tysiąc talarów!.. znaczna summa, ale Bóg widzi serce moje, że gdybym ją posiadał, tedybym chętnie je poświęcił na wyrwanie go z tego nieszczęścia.

ZOFIA. (*Ociera oczy.*)

Nie maszże już naymnieyszéy nadziei?..

DOBROCZYN.

Daymy już pokóy tym ubolewaniom, one ani nam, ani tym biednym żadney ulgi nie przyniosą. Pomówmy raczey o naszych interesach. Czy znasz ty Zosiu Pana Walendon?

ZOFIA.

Tego bogatego Kupca, który kiedy jest w Wilnie, prawie co tydzień odwiedza tuteyszy szpital?

DOBROCZYN.

I każdego hoynie udaruje: właśnie tego samego.

ZOFIA.

A któżby z tuteyszych nie znał tak dobroczynnego człowieka?

DOBROCZYN.

Uznajesz-że go bydź godnym szacunku?

ZOFIA.

Naywiększego.

DOBROCZYN.

Wiadomo ci, że on jest wdowiec, i bardzo bogaty.

ZOFIA. (*Na pół z radością.*)

Tak jest, bogaty! Reszty się domyślam. WPan Dobrodziéy zapewne chcesz do niego udać się z prozbą o te tysiąc talarow, na oswobodzenie oyca Zuzi.

DOBROCZYN.

Zapominasz się. Wszakże zdaje się, iż mieliśmy zacząć mówić o czém inném.

ZOFIA.

O! ja to słyszałam, ja to dobrze pamiętam, ale też dobrze znam WPana sposob myślenia, że zawsze masz zwyczay taienia swego dobrego uczynku, ktorego masz intencye wykonać.

DOBROCZYN.

Bydź to może. Jednakże teraz nie-

zgadłaś, wcale co innego miałem ci mówić.

ZOFIA.

Alež Pan Walendon, ile będąc tak miłosiernym, zapewneby im nie odmówił swéy pomocy. Bo czy nie na jednoż to wypada, wydać przez rok na kilka tysięcy żebraków po rublu, czy tysiącem rubli wesprzeć jedną familią?

DOBROCZYN.

Przyznaję, że drugie jest ważnieyszym uczynkiem niżeli pierwsze. Ale ja wcale co innego miałem ci mówić.

ZOFIA.

On tak dawno nie odwiedza naszego szpitalu!

DOBROCZYN.

Nie masz go w Wilnie, i nie powróci aż za trzy miesiące.

ZOFIA.

O jak wielka szkoda!

DOBROCZYN.

Pisał do mnie z Więdnia, list jego mam przy sobie, cały się ściąga do ciebie.

ZOFIA.

Do mnie?

DOBROCZYN.

Tak jest. Pokazałem go Pannie Chilaryi zczego ta dobra Panna, jak będąc interesowaną o ciebie, mocno się ucieszyła: pozostało mi tylko ciebie o tém uwiadomić: i to jest właśnie, z czym tu do ciebie przychodzę, a to za pozwoleniem Panny starszey.

ZOFIA.

Cóż to ma bydź takiego?

DOBROCZYN. (*Dobywa list*)

Dowiesz się o wszystkim. (*Czyta.*)
„ Przychodzi pora ukończenia powie-
„ rzonego WPanu układu. Wytrzyma-
„ łem stale zaleconą mi przez niego
„ próbę, pół roku kończy się, a tym
„ samym zbliża się termin mego szczę-
„ ścia; jeżeli tylko z drugiey strony na-
„ stąpi zezwolenie. Przełóż WPan moje
„ żądania Pannie starszey, i oświadcz
„ naymilszéy Zosi, że jeżeli sądzi mnie
„ bydź godnym ręki swoiéy, od tego
„ momentu iest Panią całego mego do-
„ mu. Piszę teraz do mojéy siostry, że-
„ by ją przyieła jako gospodynię, ja
„ za przyjazdem moim przywitam ją
„ jako żonę, a móy Hipolitek jako
„ matkę. To kochane dziécie nie mo-
„ że zapomniéć utraty rodzoney, ani

„ ja godnéy pamięci żony: a rany serca
„ naszego, jedna tylko Zosia uleczyć
„ może„ I cóż WPanna na to?

ZOFIA. (*Spuszcza oczy.*)

Ja?

DOBROCZYN.

Moje dziécie, dobroć twoia zasługuje na to, co ciebie spotyka.

ZOFIA.

WPan Dobrodziéy tak wiele mi przypisujesz?

DOBROCZYN.

Gdybym w twoich postępkach dostrzegł był kiedy naymnieyszy cień płochości, wstrzymałbym się oddawania ci tych pochwał, na które zasługujesz: a na mieyscu tego, słyszałabyś napomnienia stosowne do teraznieyszéy odmiany twego stanu: ale przekonanym będąc, że grunt duszy twojey nad twóy wiek nawet jest ustalony, śmiało więc w przytomności twojéy mogę oddać sprawiedliwość obfitym twoim przymiotom, będąc pewnym, że cię to nie zepsuje, ale owszem bardziéy w nich umocni. Możesz tedy dnia dzisieyszego odmienić twoje mięszkanie.

ZOFIA.

Dziś?. Nie.. Ja myślę, że może nigdy, a przynaymniey barzo do tego daleko.

DOBROCZYN.

A toż dla czego?.. Miałażbyś pogardzać ręką tak cnotliwego męża, i tém wszystkiém, co cię przy niéy spotyka?

ZOFIA.

Pogardzać tak szanowną ręką, miałabym sobie za występek, i owszem, Pan Walendon, w zbudza we mnie naywiększy szacunek ku sobie. To tak wielkie Dobrodzieystwo, które chce mi wyświadczyć, znam, że jest nad móy stan, i nad moje urodzenie.

DOBROCZYN.

Może żądasz, ażeby ci dać porę do namyślenia? i to iest rzeczą nie naganną, wzbronić ci tego nie można.

ZOFIA.

Tego nie potrzebuję. Żaden człowiek nie jest bez przywary, w sobie zaś to postrzegam, że jeden moment rzecz całą stanowi, a jedno słowo wymówione, jest u mnie dekretem nie odwołanym.

Dobroczyn (*Poważnie.*)

Więc jedno słowo nierozmyślnie wymówione, miałoby cię odwieść od winnego posłuszeństwa?

Zofia. (*Poważnie.*)

Nierozmyślnie? . (*Pokornie.*) Panie! .. jeszcze nie muśiałeś mnie dobrze poznać. Wprzódy przyznałeś mi grunt duszy nad wiek móy ustalony, a teraz nazywazs mnie nierozmyślną. To jedno z drugim wcale się nie zgadza.

Dobroczyn (*na boku.*)

Z kim że ja to mówię?

Zofia.

Namieniłeś mi WPan Dobrodziey ó posłuszeństwie. . O! . co z tego, to się nigdy nie wyłamuję, ale nie tam, gdzie powinno bydź zostawiono mojéy woli.

Dobroczyn.

Wola ludzka tak jest zepsutą, że nayczęściéy gurę bierze nad rozsądkiem.

Zofia.

WPan Dobrodziey mnie nie zrozumiałeś, ja mówiłam, że gdzie powinno być zostawiono do mojey woli. Lecz jak uważam, nasze zakończenia

do jednego zawsze zmierzają celu. Trzeba tedy na jedno przystać; albo że ja jestem bez tych przymiotów, któreś mi WPan Dobrodziey przed kwadransem przypisał: albo przyznać, że żadnego słowa nie wymówie bez namysłu, i że rozsądek guruje nad moją wolą.

DOBROCZYN. (*Na boku.*)

W życiu moim pierwszy raz mnie spodkało podobne zadanie. (*Głośno*) moja Zosiu! . potwierdzam, że twóy rozum jest ustalony, i dotąd, co cieszyłem się tylko wpatrując się w twoie przymioty, dziś pierwszy zaczynam je uwielbiać ile w tak młodey osobie. Lecz w nadgrodę, żądam szczerego twego wyznania: może masz jakie inne przedsiewzięcie ? . . wyznay mi prawdę.

ZOFIA.

Tak jest, mam. Postanowiłam bowiem w jakimkolwiek bądź sposobie, bydź pomocą nieszczęśliwemu Wirbutowi, a oddając moją rękę komu, musiałabym zupełnie podać się woli męża, i bydź mu we wszystkim posłuszną. Gorliwość tedy moja o nieszczęście Wirbuta możeby się nie podobała memu mężowi.

DOBROCZYN.

Bydź to może. Ale i to mogłoby nastąpić, że Pan Walendon dla swoiéy żony, zupełnieby wybawił z nieszczęścia Pana Wirbut.

ZOFIA.

I temu nie przeczę. Ale ja, wolałabym zawsze zasługiwać na miłość męża, aniżeli wysługiwać się za łaskę.

DOBROCZYN. (*Na boku.*)

To troche za wysoko pomyślano (*Głośno*) W czymże ty Zosia możesz bydź pomocą tym nieszczęśliwym?

ZOFIA.

Postanowiłam zatrudnić się ukształceniem serca Zuzi tyle przynaymniey, ile moja zdolność pozwoli. Wyznaię, że wiele jest w tém szpitalu moich rówiennic doſkonalszych we wszystkim odemnie, i że to dziecko daleko mogłyby postawić na większym stopniu doskonałości niżeli ja, ale niczyie życzenia względem jéy, nie wyrównają moim. Zuzia ma już lat dwanaście, jey postępowania, chociaż w tak młodym wieku, czynią na przyszłość wielkie nadzieje, naydaley za lat cztery, może ją spodkać takie ſzczęście, jakie mnie spotyka dzisiay, na ten czas czy nie będzież

mogła skrócić nieszczęść oyca swego? O gdyby to nastąpiło!.. gdybym na to mogła zapatrywać się memi oczyma, na ten czas żadna roskosz niewyrównywałaby mojéy.

DOBROCZYN.

Cóż ci jest tak wielką pobudką do tego?

ZOFIA.

Nic więcéy, prócz chęci pocieszenia strapionego. Postanowiłam bowiem za naypierwszym zdarzeniem wypłacić się Opatrzności, czyli inaczéy mówiąc, uczynić z siebie choć małą ofiarę; że mnie biédnéy sierocie przeznaczyła za opiekunkę moją Dobrodzikę Pannę Chilaryą: teraz mi się wydarzyła naysposobniéysza okoliczność, upuścić jéy nie mogę.

DOBROCZYN.

To zawsze jeszcze jest przed tobą.

ZOFIA.

Ale biedna Zuzia, może mnie jedną ma tak interesowaną o siebie.

DOBROCZYN.

Szczęście, które sobie wróżysz w przy.

szłości dla Zuzi nie koniecznie jest pewne, nie każdą bowiem spodkać może los podobny, jaki dziś ciebie spotyka.

Zofia.

Prawda: jeżeli tuteyszy szpital utraci w osobie WPana Dobrodzieja, swego opiekuna; na ten czas biedne sieroty dość będą się sądzić szczęśliwemi, jeżeli wyydą do jakiego dworu na garderobiane (tak, jak dawniéy bywało:) pod jego zaś opieką każda, aby tylko starała się bydź dobrą, może bydź zawsze pewną swego szczęścia. Czyż ja to pierwsza jestém, któréy WPan Dobrodziéy chcesz zrządić los podobny? Nie widzęż ja bardzo często odwiedzające jego dawniéysze siéroty, a dzisiay żony maiętnych obywateli, z dziećmi swemi na rękach, i przy boku prowadzonémi, z błogosławieństwem i dziękowaniem za twoją o nie staranność? Jch mężowie przeięci wdzięcznością, nie uwielbiaiąż twoią dobroć, że z twéy ręki maią dobre żony, troskliwe matki, i rządne gospodynie?.. Niech tylko Zuzia podrośnie pod okiem WPana Dobrodzieja, i niech stara się bydź cnotliwą! a jéy los szczęśliwy, już jest zapewniony.

DOBROCZYN.

Luba sieroto!.. I tyż swóy los poświęcasz dla kogo innego?

ZOFIA.

Do spełnienia mego przedsiewzięcia, podobna okoliczność może się nie wydarzyć: mnie zaś gdyby już nic innego nie spotkało, póydę za przykładem méy Dobrodziki, zasłużę sobie na przyięcie w grono tuteyszego zgromadzenia, i poświęcę się na ratowanie bliźnich.

DOBROCZYN.

Nie!.. nie!.. nigdy!.. Pan Walendon musi mieć ciebie, on godzien jest twéy ręki, a ty tym bardziéy zasługujesz mieć takiego męża; ty musisz być jego żoną.

SCENA VIII.

CHILARYA, DOBROCZYN, ZOFIA.

CHILARYA.

Już tedy musi być jego żoną? spodziewałam się tego, że stanie się posłuszną WPanu, co mi wielką przynosi roskosz.

DOBROCZYN.

Mylisz się WPanna Dobrodzika, nie tak łatwo jest trafić z nią do końca, i wyznać muszę, że ten rozum, i te przymioty, cośmy w niéy dawniéy upatrywali, były tylko jednym cieniem w porównaniu tych, które w niéy teraz odkryłem. Zasługuje Zosia na te pochwały, zasługuie na to, ażeby je w jéy przytomności dawano.

ZOFIA.

Jeżeli posiadam jakie przymioty, tedy to jest dziełem méy Dobrodziki, cała więc chluba niechay przy niéy zostanie, dla mnie zaś dość téy, że ile możności moiéy starać się będę, do saméy śmierci zachować w gruncie serca mego maxymy przez nią w pajane od mego dzieciństwa. (*Całuje w rękę Chilaryą.*)

CHILARYA.

Kochane dziécie! (*Całuie w głowę Zofią.*) Cóż ona tu zrobiła takiego?

DOBROCZYN.

Jnnego czasu wszystko jéy opowiem, teraz muszę odéyść, mam bowiém niektóre ważne czynności . . . Późniéy Do-

brodziko dowiesz się o wszystkim. Wiele wprawdzie utraca nasze zgromadzenie w Zofii, ale też za to społeczność ludzka wiele w niéy znaydzie na świecie. (*Odchodzi.*)

CHILARYA.

Cóż to tu było takiego?

ZOFIA.

Nadzwyczaynego nic wcale. (*Spuszcza oczy.*) Ja nawet powtórzyć tego nie potrafię

CHILARYA. (*Bierze rękę Zofii, i przyciska.*)

No!.. no!.. nie badam się o nic. Idź teraz do Zuzi, zostaniesz ją w mojéy Celi, to dziecko bardzo żąda ciebie. (*Zofia całuje w rękę Chilaryą i odchodzi.*)

SCENA IX.

CHILARYA, potym MECHTYLDA.

CHILARYA.

Kochane dziécie!.. Boże, dzięki tobie, że w niéy zostawiłeś pociechę stroskanemu sercu memu.

MECHTYLDA. (*Wchodzi z biletem.*)

Przywieziono chorego. (*Oddaie bilet.*)

CHIŁARYA. (*Rozwija bilet*)

„ Litośnicki obywatel, uprasza Pa-
„ nien Miłosiernych o przyięcie do szpi-
„ talu powracającego z Syberyi Kapi-
„ tana Walnickiego, także o wygodę
„ przyzwoitą jego stanowi i randze:
„ którą uczynność obowiązuie zaboni-
„ fikować, i bydź zawsze pamiętnym„.
(*mówi.*) Nasz dobroczyńca! Mimo naszéy powinności winne mu jesteśmy posłuszeństwo. W Sali S. Walentego łóżko zostanie dziś wolne, siostra Giertruda niech wyda czystą pościel i bieliznę, a tym czasem, jeżeli jest bardzo słaby, niech będzie złożony w Infirmaryi pod Numerem Czwartym.

MECHTYLDA.

Teraz jest u Fórty, prosił o Spowiednika.

CHIŁARYA.

Xiądz Kapelan tylko co ztąd wyszedł, trzeba kogo posłać oznaymić. (*Mechtylda odchodzi, Chilarya przechodzi się pogrążona w smutku, ociera oczy, po niejakiey pauzie*

podnosi ręce w górę i mówi z westchnieniem.) Boże! uspokóy choć na moment sumienie moie. (*Pada na kolana, opiera się o stół.*

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

Teatr okazuie Infirmaryą, na stole leżą Kfiążki, kałamarz, i dzwonek

SCENA I.

WALNICKI. (*siedzi na Taborecie oparty o stoł.*)

PO kilko-letnim niewidzeniu tych miłych obiektów, między któremi przepędziłem młodociane lata moie, ani oddychaiąc tém lubém niegdyś dla mnie powietrzem: jakżeby mi té mieysca były teraz przyiemnemi, gdyby mi nie towarzyszyła pamięć mey fzkarady. Ach! poc óż zostałem uwolniony z głębi mego wygnania? po co śpieszyłem się tak skwapliwie w te mieysca, gdzie znayduię ślady zbrodni popełnioney! ale cóż począć? Kończmy ze stałością ułożone przedsięwzięcie.

SCENA II.

MECHTYLDA, WALNICKI

MECHTYLDA.

Łóżko dla WPana już jest przygotowane, inne potrzeby za jego roskazem

będą mu dostarczone; a jeżeli się WPan czuiesz na siłach, tedy możesz tu zaczekać na Xiędza Kapelana: w moment nadeydzie.

WALNICKI.

Bardzo dobrze, czekam na niego.

MECHTYLDA.

Może WPan potrzebny jesteś posiłku?

WALNICKI.

Teraz nic wcale, zamawiam sobie na dalszy czas jéy łaskę.

MECHTYLDA.

My pełniemy naszą powinność (*odchodzi.*)

SCENA III.

WALNICKI potym DOBROCZYN

WALNICKI.

Nadeydzie tedy móy Spowiednik. Ale cóż tam pomoże forma absolucyi Kapłańskiéy, gdzie własne sumienie odpuścić niechce? Może bydź, że tak myśląc, popełniam błąd przeciw Aktu nadziei. O!... szczęśliwszy jest ten, co lękaiąc się Boskiey sprawiedliwości chroni się występku.

DOBROCZYN. (*zdeymuie Biret.*)

Pokóy Pański i pocieszenie niech zawsze z nim przemięszkiwa.

WALNICKI. (*Wstaje*)

Dziękuię WPanu za jego życzenie, O gdyby kiedykolwiek pokóy Pański zawitał do serca mego!

DOBROCZYN.

Ufność w miłosierdziu nieograniczonym zawsze to zrządzić może.

WALNICKI.

Powodowany tą ufnością, dopuściłem wydobyć się z głębi wygnania moiego: inaczey bowiem, wolałbym tam w nay nędznieyszym stanie ukończyć życie, niż oglądać oyczyznę moią.

DOBROCZYN.

Siadaymy! WPan jesteś słaby (*siadaią.*)

WALNICKI.

Żądałem dla siebie mieć Spowiednika, ale to był tylko pretext: mnie potrzebny jest przyiaciel. Wszelako rzecz, którą mu mam powierzyć, ściąga się do mego sumienia: żądam utrzymania ją w sekrecie póty przynaymniey, póki tego potrzeba wymagać będzie.

DOBROCZYN.

Będę się starał usłużyć mu w tym wszystkim, w czym tylko zdolność moja dozwoli.

WALNICKI.

Nie byłeś WPan Dobrodziey kiedy w okolicach Poznania?

DOBROCZYN.

Nigdy.

WALNICKI.

A w Warszawie?

DOBROCZYN.

Byłem w Korpusie Kadetów, a późnieiy w Gwardyi.

WALNICKI.

Czy nie znana była WPanu Rozymunda Drobińska? Albo czy nie zdarzyło się słyszeć kiedy o Felicyanie Drobińskim?

DOBROCZYN.

O żadném z nich.

WALNICKI.

Więc badania się moje są daremnemi.

DOBROCZYN.

Z tamtych stron bardzo częste bywaią tu okazye, może będzie można do-

wiedzieć się o tém imieniu; albo jeżeli tego potrzeba wymagać będzie, to można podać do gazet. Ja obowiązuię się dołożyć w tém starania.

WALNICKI.

Jeżeli WPan Dobrodziey uznasz tego petrzebę.

DOBROCZYN.

Ci Drobinscy, czy nie są mu w rodzeństwie?

WALNICKI.

Ach!.. na ſamo wspomnienie tego imienia, serce lodowacieje.

DOBROCZYN.

Może wyrządzili mu jaką krzywdę?

WALNICKI.

Prędzéy się zapomina poniesiona od kogo krzywda, niżeli komu wyrządzona, a jeszcze tam, gdzie nie ma nadziei uczynienia restytucyi.

DOBROCYN. (*Wstając.*)

Więc powierzenie mi tego sekretu byłoby arcy-daremne.

WALNICKI. (*Wstaje raptem i porywa za rękę.*)

Arcy-potrzebne!.. I nie wyydziesz

żtąd, póki zupełnie nie wysłuchasz méy awantury.

DOBROCZYN. (*Przymuszając się.*)

Dobrze! .. Już słucham.

WALNICKI.

Przed lat osimnastó czyli mniéy, zabrałem znajomość w domu Drobińskich, a przez codzienne tam uczęszczanie, wznieciłem w niewinnym sercu jedynaczki ich córki Rozymondy miłość ku sobie. Mówię, że wznieciłem; bo sam będąc rozwięzłym, naymnieyszéy ku niéy nie czułem. Temu dziecku nie więcey w tedy liczono nad lat pietnaście: miała dobre wychowanie, ale naymniéyszego doświadczenia, a bardziey groźnego oyca. Wymówiła się raz przedemną, że jéy oyciec choć się pisze w rzędzie drobnéy szlachty i żyje barzdo skromnie i ubogo; ma jednak w zachowaniu bardzo wielkie pieniądze i kleynoty. Nie dawałem temu wiary, ale mnie późniéy przekonano. Rozymónda pokazała mi ukryty w zbożu spory worek złota i puszkę kleynotów. Ujęty chciwością tak wielkich i nad stan móy bogactw, a wiedząc że Rozymónda jest jedynaczką, oświadczyłem Drobińskie-

mu chęć żenienia się z Rozymundą; ale oyciec podług zwyczaynego sobie sposobu mówienia, odprawił mnie krótką odpowiedzią: że jego córce potrzebny jest mąż, gospodarz i rolnik, a nie trzpiot, i elegant. Ta odpowiedź jeżeli mnie obeszła, tedy tym bardziey Rozymundę. Poznałem to po niéy, rzuciłem się do innego fortelu, nakłoniłem ją do ucieczki.

DOBROCZYN,

I dałaż się namówić?

WALNICKI,

Sama mi oznaymiła porę do uskutecznienia naszego układu. Oyciec jéy niewiedząc o tym, że jego skarb ukryty był wypatrzony przez córkę, za każdym wyjazdem z domu ze swoją żoną, zostawiał ją gospodynią domu. Procezder wezwał ich na cały tydzień do Poznania, ta tedy pora posłużyła nam do wykonania naszego zamysłu.

DOBROCZYN. (*Przymusza się do spokoyności.*)

Jakiż koniec tégo?

WAŁNICKI.

Nayszkaradniéyszy. Żeby nie dać śladu za sobą, błąkałem się z nią po róż-

nych miéyscach, a naywięcey po nad-granicami Państw obcych. Po ośmiu miesięcach po naszéy ucieczce, przy-jechałem z nią do Warszawy, a w ty-dzień potym, opuściłem tę nieszczę-śliwą ogołociwszy z tego wszystkiego, co posiadała, i nie pozostało nic wię-céy przy niéy, tylko ubóstwo i nie-sława.

DOBROCZYN.

Sumienie jego byłoż dotąd na to spo-koyne?

WALNICKI.

Dotąd nie, ale bardzo długo w przo-dy. Porzuciwszy ją odmieniłem swe na-zwisko, a pod Imieniem Walnickiego; zaciągnołem się do Wóyska Litewskiego; gdzie przy pieniądzach, łatwo mi było dostąpić Rangi. Pierwszy raz dopioro ocknelo się moje sumienie czasu po-tyczki pod Solami, wtedy jak w zwier-ciedle uyrzałem wielkość zbrodni mo-jey; Ale już nie było czasu do uczy-nienia restytucyi, chociaż ją w sercu moim postanowiłem. Większa połowa tych pieniędzy na ten czas już była roztrwoniona, a w czasie samey po-tyczki dostałem się w niewolę. Co mia-łem przy sobie, to wszystko zostało zabrane, a co było przy bagażach tedy,

niewiem, jakby można o tym choć wiadomość powziąć.

DOBROCZYN.

Taką rzeczą, wywiadywanie się o Rozemundzie i o jéy oycu, jako już niewczesne, tak też z obu stron bardzo nieużyteczne.

WALNICKI.

Z strony ich, aż nadto jestem przekonany, że jest nie użyteczne, ale dla mnie bardzo potrzebne. Nie szukam bowiem nic więcé, tylko spokoyności śmego sumienia. Nayniezności éysze moje trudy, niewczasy, głód, bezustanna praca, i to wszysko, co ręka przedwieczney sprawiedliwości dotąd na mnie z syłała, niczym są w porównaniu téy męczarni, którą serce moie bez ustannie jest dręczone. O gdybym tylko ich wynalazł! Niech przez niech będę oddany pod rygor praw naysurowszych! niech będę skazany na naysroższą karę!.. niech cierpię!.. ale niech wiem, że cierpię za popełnioną zbrodnię: na ten czas ten robak gryzący mnie tak srodze może pofolguje choć przed samym skonaniem. A gdybym u nich nad spodziewanie moie mógł wyjednać przebaczenie!.. gdybym u nóg ich mógł to wy-

jednać na ten czas!.. Nie!.. nie!.. nie spodziewaj się tego nigdy nieszczęsny!

DOBROCZYN.

Mogłoby to i nastąpić, gdyby ich wynaleść w życiu, a jeżeli przeciwnie, na ten czas trudy nasze wcale staną się daremnemi.

WALNICKI.

Może przynaymniéy dowiem się, gdzie ich zwłoki są złożone, a przy ich mogiłach poświęciłbym ostatki dni życia mego. Dziesięcioletnie doświadczenia uczyniły mnie zdolnym do naygrubszéy pracy, u każdego rolnika znalazłbym dla siebie mieysce, każdy więc grosz wysłużony, i zbywający od nieuchronnych potrzeb, w każdym czasie przy ich grobowcach pragnę poświęcać na wsparcie ludzkości, a w zbywających godzinach od pracy, skrapiać będę ich popioły łzami żalu szczerego choć nadto późnego, a może ta moja ofiara ubłaga mściciela sprawiedliwego.

DOBROCZYN.

Miłosierdzie Naywyższego jest nieograniczone, żal twóy i pokuta, na którą masz intencyą poświęcić się, mogą przebłagać Jego Majestat, i przynieść

ulgę twemu sumieniu. Ja mu teraz w niczym więcéy służyć nie mogę, tylko w tém, co po mnie wyciąga moie powołanie, przyrzekam mu jednak moią pomoc tyle, ile moja zdolność pozwoli. Zyczyłbym jednak nie powierzać nikomu więcéy tego zdarzenia. Ja dziś mam niektóre zatrudnienia, przez ciąg WPana tu bytności będziemy się mogli naradzić względem dalszego układu. A teraz bądź spokoynym i miéy ufność w Panu. (*Dzwoni.*)

WALNICKI.

We wszystkim oddaię do woli WPana Dobrodzieja.

SCENA IV.

MECHTYLDA, DOBROCZYN, WAŁNICKI.

MECHTYLDA.

Czego potrzeba?

DOBROCZYN.

Pan Kapitan może iść na wyznaczone sobie mieysce.

WALNICKI.

WPan Dobrodziey odwiedziszże mnie kiedy?

DOBROCZYN.

Codzień będziem się z sobą widywać.

WALNICKI.

Bardzo o to proszę!

MECHTYLDA.

Proszę WPana. (*Odchodzą z Walnickim.*)

SCENA V.

DOBROCZYN. (*Sam.*)

O jak często podobne między ludźmi zdarzają się awantury, i jak za niemi niedobre wypływają skutki! Dziwny jest układ każdego człowieka; wszyscy pochwalają cnotę, każdy nagania występek, a rzadko który stara się o pierwsze, a chroni drugiego. Ten człowiek jeszcze nie jest tak nieszczęśliwym, jak siebie sądzi, przynamniéy ma czas zostawiony do pokuty. Lecz wieluż to jest takich, co naywiększe pokrzywdzenie bliźniego nie tylko mają sobie za bagatelę, ale nawet poczytują za chlubę.

SCENA VI.

WIRBUT, DOBROCZYN

WIRBUT. (*W żalu.*)

Mości Dobrodzieju!.. już pożegnałem się na zawsze z naymilszą moją Zuzią. Oddałem jéy sennéy ostatnie moie pocałowanie... WPanu Dobrodziejowi odważam się jeszcze uprzykrzyć jedną prożbą. Po moim odéyściu, bądź przytomnym przy jéy przebudzeniu się, nie dopuszczay temu dziecku zapędzać się w żalu. A w końcu, bądź jéy oycem jakeś przyobiecał

DOBROCZYN.

WPan już się oddalasz?

WIRBUT.

Naydaléy za puł godziny: oznaymiono z Policyi, żebym był w gotowości.

DOBROCZYN.

Na pocieszenie WPana to tylko mogę udzielić, że widzenie jego córki może nie bydź ten raz ostatni, niech ci tylko łaskawe Nieba przedłużą życia, a możesz mieć nadzieję, że jego nieszczęścia będą skrócone.

WIRBUT.

Chociaż to rzecz bardzo wątpliwa, wszelako i za tę pociechę dziękuię WPanu Dobrodziejowi.

SCENA VII.

MECHTYLDA, DOBROCZYN, WIRBUT.

MECHTYLDA.

MPanie Wirbut! ... Jakiś staruszek przyprowadzony pod strażą z Policyi, chcé się z WPanem widzieć.

WIRBUT.

To musi bydź Albert ten sam, o którym dziś rano namieniałem. Mości Dobrodzieju! czy może przyiść tutay? ...

DOBROCZYN.

I dla czegoż nie? prosić go. Panno Mechtyldo! każ WPanna powiedzieć Zosi, jak obudzi się Zuzanna, żeby mi dano znać.

MECHTYLDA.

Bardzo dobrze. (*Odchodzi.*)

WIRBUT.

Jak pierwéy lękałem się godziny rozstania z moją córką, tak teraz niecier-

pliwie jéy oczekuię: już jestem zupełnie spokoyny. Niech Bóg odtąd nią się opiekuje! a na serce moie nie dopuszcza więcéy tak srogo dręczącéy tęsknoty, jaką dotąd byłem trapiony.

SCENA VIII.

ALBERT, DOBROCZYN, WIRBUT.

ALBERT.

Czego się ja dowiaduję MPanie Wirbut? WPan tu zostawiasz córkę swoją, tę jedyną rozrywkę, cóż mu pozostanie do pocieszenia w jego umartwieniach?

WIRBUT.

Pamięć, iż zostawiam ją pod dozorem troskliwych o jéy los dobroczyńców. Jegomość Dobrodziey, i jedna sierota tutéyszego szpitalu, przyjeli obowiązek opiekowania się nią.

ALBERT. (*Do Dobroczyna.*)

Boże cię błogosław łaskawy Panie! Głos zgrzebiałego starca może znaleść łaskawe przyięcie u Tronu Naywyższego, a serce moje i usta, bezprzestannie błogosławić będą Majestat Boski, i prosić o szczęśliwe twoje powodzenie, i o długość dni twoich. Ale

jedna sierota, jakiż może zrządzić los podobnéy sobie?

DOBROCZYN.

Ta dziewczyna chociaż jest w młodym wieku, ma szczegulny dar prowadzenia dzieci, i uczynienia ich sobie podobnemi. Jeżeli tylko Zuzanka póydzie za jéy radami i przykładem, można się bespiecznie spodziewać, że za czasem przyniesie oycu pociechę.

ALBERT.

To dziecko jest usposobione do wszystkiego dobrego. Ona jedna potrafiła choć momentalnie uspokajać troski moje, i łagodzić nieuleczoną ranę serca mego. Ależ wiadomo, że sierota szpitalna nie jest nigdy Panią swéy woli: jéy tedy Ochmistrzyni może bydź czasem użytą do czego innego, albo może się jéy wydarzyć u jakiéy Pani zyskowne miéysce; na ten czas, gdzie Zuzia będzie oddana?

WIRBUT.

Ach!.. mnie to nawet na myśl nie przyszło.

DOBROCZYN.

Niech to was bynaymniéy nie trwoży. Panna zarządzaiąca tém szpitalem

posiada serce również tkliwe i czułe: przytém, interesuje się bardzo od niemowlęciego wieku tą sierotą, i tak do niéy jest przywiązaną, że jéy nic nigdy w niczém nie odmówi. Co do Zofii na wasze zapewnienie muszę to powiedzieć, że dziś dla miłości Zuzanki odrzuca spotykające ją szczęście. Jeden bogaty Kupiec, i znaczny tutéyszy obywatel oświadcza jéy chęć żenienia się z nią, ta dziewczyna, mimo szacunku, który ma ku niemu, odmawia mu swéy ręki i zrzeka się widocznego szczęścia jedynie dla tego, ażeby mogła tym wolniéy zatrudnić się wychowaniem Zuzi.

WIRBUT.

O naymilsza moja Dobrodzika! czymże ja u niéy zasłużyłem na tak wielką ofiarę?

ALBERT.

Kochane dziecię!.. niech ją poznam!.. niech obaczę tę Anielską duszę!.. niech w niéy przypomnę!.. (*Wpada w zapał gniewu*) Boże!.. cóż mi to na myśl przyszło?.. kogoż to ja w niéy mam przypominać?.. jedną zbrodniarkę i zrządzicielkę tak wielkiego nieszczęścia, wyrodne plemię

zasługującą na gniew Boga i przeklęstwo Oyca.

DOBROCZYN.

Cóż to jest?.. co cię unosi tak wielką passyą?

WIRBUT.

Nic to MDobr: ten szacunek ma czasem obłąkanie.

ALBERT.

Obłąkanie?.. o! nie,.. nie,.. jestem zupełnie przytomny i czuię, co mówię.

WIRBUT.

Albercie!.. jestże pora wpadać w recydywę.

ALBERT.

Nayprzyzwoitsza!.. ponieważ twoje nieszczęścia już wygurowały.

WIRBUT.

Chyba dla tego, że moje nieszczęścia i ciebie pociągneły w przepaść za sobą. Ale przyznay, że twoja nieumiarkowana popędliwość jest winna temu poczęści.

DOBORCZYN. (*Na boku.*)

Cóż to jest takiego między niemi?

ALBERT.

Moja popędliwość mówisz? . . o! . . ty jeszcze nic niewiesz, ale teraz dowiedz się o wszystkim. Wiadoma ci uczyniona mi szkoda, ta jest nie moja, ale twoja, to jest: twoiéy żony.

WIRBUT. (*Z zadziwieniem.*)

Jak to bydź może? . .

DOBROCZYN.

Zostawiam was samych moi przyjaciele, i życzę, ażebyście w terazniéyszym czasie nie przyczyniali sobie umartwienia przypominaniem dawniéyszych zdarzeń (*Chce odchodzić.*)

ALBERT.

Zostań się WPan Dobr: na jego obowiązki zaklinam i proszę! przytomność WPana Dobrodzieja jest nam bardzo potrzebna.

WIRBUT.

Innego razu opowiesz mi WPan rzecz całą.

ALBERT.

Innego razu może nie będziemy mieli tak potrzebnego świadka temu wyznaniu, jakim jest Jegomość Dobrodziey.

DOBROCZYN.

Jeżeli WPan mnie koniecznie potrzebnym bydź sądzisz, więc mimowolnie słucham.

ALBERT.

Oyczym świętey pamięci żony tego nieszczęśliwego, mimo ubóstwa przed światem okazywanego, posiadał znaczne bogactwa w kleynotach i pieniądzach, o czym nawet żona jego niewiedziała. Na godzinę przed swym skonaniem, odkrył żonce schronienie swego skarbu zebranego przez wrodzone skępstwo. Ta kobieta chcąc utaić przed Mężowską Familią te zbiory; powierzyła ich mnie do schowania. Postanowieniem jéy było za upatrzonym czasem przebrać się ze wszystkim na mieszkanie do swojey córki, a żony Pana Wirbuta, ale raptowna choroba, a po niéy śmierć, nie dopuściła jéy tego. Widząc się już bydź zupełnie osłabioną przywołała mnie, i prosiła, żebym te pieniądze i kleynoty oddał do ich rąk: lecz niestety! niemogłem tak prętko wykonać jéy woli, i nie wiem jakim sposobem te pieniądze zostali wyśledzone przez córkę moją.

DOBROCZYN. (*Raptownie.*)

Cóż się stało?

ALBERT.

To wyrodne dziecie zostało obałamucone przez jednego niegodziwca, i w czasie, kiedy ja byłem zatrudniony procesem, zabrawszy to wszystko, dała się uwieść.

WIRBUT.

O nieszczęśliwy przypadku!

DOBROCZYN. (*Na boku*)

Boże, czegoż się ja dowiaduję!

ALBERT.

Na daremnie strawiłem kilka tygodni śledząc za niemi, i naymnieyszéy wiadomości powziąć nie mogłem. Powróciłem więc do domu, i umówiłem się z żoną moją choć w małéy części nadgrodzić tę szkodę Wirbutom. (*Do Wirbuta.*) I to jest przyczyną, że przedałem całe moie ubóstwo, i złożyłem wszytko, co miałem, u WPana, to było przyczyną zostawienia u niego mojéy żony, ponieważ postanowiłem wyszedłszy nie powracać prędzéy, póki ich nie wynaydę, choćby mnie miała i śmierć zachwycić gdzie w drodze, nie byłbyś mnie miał w swoim domu, gdybym był przypadkiem nie trafił na to miéysce, gdzie sprawiałeś twoją funkcyą, i nię przynaglił do zostania się przy sobie.

WIRBUT.

Prawda, że ten przypadek stał się początkiem mego upadku; ponieważ posiadaiąc tak znaczny maiątek, jak mi WPan mówiłeś, nie potrzebowałbym téy funkcyi, na któréy zupełnie zostałem zniszczony. Ale któż się kiedy może oprzeć przedwiecznym wyrokom?

DOBROCZYN. (*Na boku.*)

Tak!.. to jest on sam:.. ale wywiedźmy się gruntowniéy (*głośno.*) Móy staruszku, powiedzże mi, jak się nazywasz i jak było imie córce twoiéy.

ALBERT.

Puszczając się w świat na ich wyszukanie, nazwałem się imieniem z bierzmowania, właściwie zaś nazywam się Felicyan Drobińſki. Córki zaś mojey Imie Rozemunda.

DOBROCZYN. (*Na boku.*)

Nie omyliłem się.

ALBERT.

WPan Dobrodziey zamyślasz się; może znasz moią córkę, może wiesz jéy schronienie? Powiedz!

DOBROCZYN.

Na móy charakter przysięgam, że

ani znałem nigdy, ani wiem o niey.

ALBERT. (*Podeyrzliwie.*)

A jednak cię to imie zastanowiło.

DOBROCZYN. (*z zatrudnieniem.*)

Tak jest:.. nie,.. to nie imie, ale postępek tak fatalny.

ALBERT. (*Z passyą.*)

Jéy uwodziciel nazywał się Zdradnicki.

DOBROCZYN. (*Niespokoynie.*)

I to nazwisko pierwszy raz obiło się o moje uszy.

ALBERT. (*Co raz w większym zapale.*)

O gdybym które z nich mógł w ten moment obaczyć, gdybym ich mógł wynaleść, ani stan móy niewolniczy, ani starość moja, nic zgoła nie potrafiłoby wstrzymać zajadłości, którą w ten moment pała serce moje. Ostatek sił wydobyłbym na należyte ich ukaranie, a na dopełnienie sprawiedliwego gniewu mego, powtórzyłbym w ich przytomności wszystkie moje przeklęstwa, i obciążyłbym ich sumienie aż do gro-

bowéy deski, a po śmierci, oddałbym ich zemście zagniewanego Boga.

DOBROCZYN.

Wstrzymay twóy zapęd niewczesny! Przedwieczna mądrość nakazuie przebaczać swoim nieprzyjaciołom, i kochać ich, a nie pałać tak długo zemstą. A co większa; ona jest córką twoią.

ALBERT.

Dla tego też zemsta moja nie może bydź ukojoną. Prędzey bowiem odpuściłbym komu innemu; Ale to zrobiła rodzona córka! Córka niegodna dobrego wspomnienia, plemie niegodne imienia Drobińskich.

SCENA IX.

CHILARYA, DOBROCZYN, WIRBUT, ALBERT.

CHILARYA. (*Wchodzi raptownie.*)

Jakież to imie dało się mi słyszeć? (*Spogląda na Alberta, lęka się, i wyniosłym głosem mówi.*) Wszechmocny Boże! (*Stoi w osłupieniu; we wszystkich daie się widzieć wielkie zadumienie.*

Dobroczyn. (*Z pomieszaniem.*)

Nieba, co za przypadek!

Wirbut. (*Pomieszany.*)

Zmysły utracam.

Albret. (*W wielkim obłąkaniu tonem powolnym.*)

Cóż to jest? .. Cóż to za głos przeraża me uszy? .. jakież to poruszenie nadzwyczayne przeymuje serce moje? .. nie zwodziż mnie moje przeczucie?

Hilarya. (*Wychodząc raptownie z osłupienia.*)

Oycze móy! .. oycze móy! .. (*Pada jak długa do nóg oyca.*)

Albert. (*Z passyą i wstrzemięźliwością.*)

Tyżeś to? .. ty! .. Nie! .. nie uwierzę aż się przekonam (*Wpatruje się podnioszy.*) Tak jest, to ona. (*Popycha z całey siły. Chilarya pada w znak, Wirbut ją wstrzymuje.*)

Wirbut.

O nieszczęśliwe zdarzenie!

Albert. (*W naywiększey passyi.*)

Na koniec podał cię Bóg w ręce mo-

je, i nie ukrył przed sprawiedliwą zemstą oyca! (*Porywa za rękę.*) Nieszczęsna! ..

Dobroczyn. (*Staje między niemi.*)

Stóy zapamiętały starcze! (*Wydziera rękę Chilaryi*) a przypomniy, gdzie i zkim się znayduiesz? szanuy zaciszę tych murów! Poważay świętość téy sukienki! A to ci roskazuię pod surowością exkomuniki.

Albert. (*Zapamiętale*)

O! .. to też to jest cała obrona i misterny płaszczyk, którym prawie wszyscy złoczyńcy zwykli się pokrywać: surowość exkomuniki, zacisze mieysca, świętość sukienki! .. cha! .. cha! .. cha! ..

Dobroczyn.

Starcze! .. za daleko ciebie twóy zapęd unosi, powtarzam, upamiętay się!

Albert.

Upamiętać się? .. Teraz wszystko poymuię. Przed kwadransem powiedziałeś, żeś nie znał nigdy aniś wiedział

o żadnéy Drobińskiey, a to potwierdziłeś przysięgą na twóy charakter.

DOBROCZYN.

I teraz przysięgam na same Niebo nawet, że dopioro o wszystkim zostałem objaśniony. Tey Panny nazwisko wcale mi niewiadome, a imie jéy Chilarya.

CHILARYA.

Dopuść WPan Dobr: ukarać przyzwoicie córkę słusznie zagniewanemu Oycu!.. Ale gdzież na tym świecie wynaydzie się kara w miarę mego występku?

ALBERT. (*Z upamiętaniem.*)

Czekay!.. zapomniałem się!.. Odpuszczam ci wszystko, ale pod kondycyą; ażebyś mi szczerze wyznała, gdzieś złożyła te pieniądze?.. niech mi będą powrócone choć w trzeciey części! a z reszty mogę śmiało zakwitować, chociaż one nie są moją własnością: na ten czas ja z moiéy strony zapomnę o wszystkim, i przycisnę cię do mego serca jako naymilszą córkę.

CHILARYA. (*załamuje ręce.*)

Niestety!..

ALBERT.

Cóż to?.. Może ich oddałaś gdzie na ofiarę? Ale wiedz o tym, że podobne ofiary Bogu wcale nie są przyjemnemi. Mów więc.

CHILARYA.

Tak daleko zbrodnia moia nie mogła się posunąć, ażebym miała szpecić świętość Ołtarzy tak szkaradną ofiarą. We dwa miesiące po dopuszczeniu się mey zbrodni, otworzyły się mi oczy, poznałam wielkość mego występku; chciałam powrócić nazad, ale już to było za późno, usiłowania moje były daremnemi; ponieważ móy uwodziciel zupełnie wziol nade mną gurę.

ALBERT.

Gdzież więc podzieli się te pieniądze?

CHILARYA.

Tegoż samego roku zostałam wszystkiego pozbawioną, i nie zostało przy mnie nic więcey, prócz mey hańby i nieustanney zgryzoty sumienia.

ALBERT.

To jest fałsz!

DOBROCZYN. (*Na boku.*)

I wielka prawda, ale pokrywaymy resztę.

ALBERT.

To jest wybieg, ale wcale nie w porę. Jakimże sposobem wszyłaś się w te odzienie?

CHILARYA.

W dwa miesiące po zostawieniu mnie przez tego zdraycę, wydałam na świat córkę, a będąc bez naymnieyszego sposobu, starałam się, ażeby ją podrzucono do szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Po odzyskaniu zdrowia, idę sama do tegoż szpitalu, ofiaruję się za mamkę z warunkiem, ażeby mi było wolno wybrać sobie dziecko do karmienia; poznałam swoje, wziełam ją, i przydano mi drugie: dołożyłam pilności tak, że mi udało się oboie wykarmić, nie życzyłam już sobie więcéy wychodzić na świat, i zostałam przyjętą na usługi szpitalu, to tylko sobie wymówiłam, ażeby jedno z dzieci przezemnie wykarmionych, zostawało zawsze przy mnie póty przynaymniéy, póki będę służyć w szpitalu. Starsza chętnie na to zezwoliła, wziełam tedy moją córkę, i jedynie dla jéy miłości wysługiwałam się lat ośm; po czym całe

zgromadzenie uznało mnie bydź godną swego towarzystwa, i tym sposobem zostałam w te przyjacielskie grono policzona.

ALBERT.

Niebaczna!.. A wieszże, jakie skutki za sobą pociągneły twoje zdrożności? oto zruynowały moie zdrowie, zruynowały cały móy maiątek, przywiodły o śmierć matkę twoją, a tę nieszczęśliwą Familią pogrążyły w przepaść bez nadziei ratunku.

CHILARYA. (*Nie posiadając się z żalu.*)

O sroga męczarnio!

DOBROCZYN. (*Na boku.*)

Boże!.. O gdybyś mi dopomogł wyrwać ich z tego!..

WIRBUT.

Albercie! sam przyznajesz, że to zdarzenie jest przyczyną całego mego upadku: jednakże ja z mojey strony wszystko przebaczam, i wszyſtko daruję. Póydź i ty Albercie za moim przykładem! odkup sobie od dawna utracony pokóy darowaniem winy występnéy, a przywróć sobie roskosz uściśnieniem w cór-

ce twoiéy kobietę jedną z nayenotliwszych.

CHILARYA.

O wspaniałomyślny człowiewieku! niewiem, jaki masz wpływ do tego, wszelako obowiązaną zawsze ci bydź pragnę.

WIRBUT.

Jaki mam wpływ, to niech teraz będzie zamilczano. Doświadczane jéy łaski w ciągu méy tu choroby wymagają po mnie zawdzięczenia. Panie Albert! troskliwość téy Pani w dopełnieniu jéy obowiązków, jest bez granic: ona jedną tylko swoją przytomnością prawie zasila chorych: każdyby chciał ją bezustannie widzieć, każdy z nią mówić, wszyscy każdego dnia oczekuią niecierpliwie godziny, w którey ona zwykła sale wizytować, a po jéy wyyściu ſame tylko słyszeć ſię dla niéy dają życzenia i błogosławieństwa. Sieroty ją kochają jak matkę, zgromadzenie ją poważa, a wszyscy, którzy tylko ją znają, uwielbiają jéy czyny. Nie wartaż jest kochania tak ſzlachetna córka? A dla jéy dobroci serca, nie wartoż jest puścić w wieczną niepamięć momentalnego jéy obłąkania?

Albert. (*Na boku.*)

Głos natury odzywa się w udręczonym sercu moim.

SCENA X.

ZOFIA, CHILARYA, WIRBUT, DOBROCZYN, ALBERT.

Zofia.

WPan Dobrodziey roskazałeś oznaymić sobie jak Zuzanka przebudzi się, tylko co wstała, i zdaje się bydź spokoynieyszą; pytała się tylko, czy już więcey nie obaczy swego tatunia.

Wirbut. (*Na boku.*)

O Boże day mi cierpliwość!..

Dobroczyn.

Pocieszay ją WPanna tym czasem nim ja nadeydę.

Chilarya. (*Będąca przez ten czas w wielkim żalu, mówi ze łkaniem.*) Zatrzymay się!.. zatrzymay moje dziecię!.. Twoja przytomność jest tu potrzebna:.. Tajemnica przez lat siedemnaście ukrywana w głębi serca mego, już została objawiona, trzeba, żebyś i ty o niéy wiedziała. (*Co raz z większym uniesieniem.*) Ale pier-

wéy, dopomoż mi przebłagać oyca mego za zbrodnie twéy matki! i wiedz o tym, że ty jesteś moją córką.

DOBROCZYN. (*Zadziwiony.*)

Jéy córką?..

ZOFIA. (*Z radością.*)

Ja córką mojéy Dobrodziki? .. Ach jakżem szczęśliwa!

WIRBUT.

Dla tego Anioła, żebym tysiąc krzywd poniosł podobnych, o wszystkichbym zapomniał, ten jeden kleynot nadgradza mi za wszystko.

DOBROCZYN.

Staruszku w twoiéy mocy jest teraz osłodzić przykrość twego stanu, spóyrzy na te dwie osoby godne szacunku, przepuść córcę, i ucałuy wnuczkę!

CHILARYA. (*Klęka przed oycem.*)

Oycze móy! day się przebłagać!..

ZOFIA.

Ja niewiem, co się tu zawiera, i co ja tu znaczę, ale widząc moją matkę, moją Dobrodzikę tak daleko upokorzoną, mam sobie za powinność łączyć

moie prozby. (*Klęka*) Poważny starcze! spoyrzyy na łzy téy dobroczynney Pani! spoyrzyy na udręczenia téy, którey udziałem jest każdemu sprawiać pocieszenie, a niewiem, czy twoie serce mogłoby bydź tak zatwardziałe, ażeby się nie dało zmiękczyć jéy pokorą, i naszemi prozbami.

ALBERT. (*Patrząc czule na Chilaryą, po nie jakiey pauzie!*)

O Boże!.. (*podnosi.*) wstań!

CHILARYA. (*Podnosi się wpatrując się w oczy Alberta.*)

Oycze móy!.. oycze móy!.. (*Pada na piersi.*)

ALBERT. (*Przyciska ją.*)

O jakże dawno nie doznawałem podobney roskoszy!

DOBROCZYN.

Panie!.. bądź pochwalon!

WIRBUT.

Teraz moje nieszczęścia stały się mi znosnieyszemi.

ZOFIA.

O jak radośne uczucia przeieły serce moje!

Albert. (*Do Zofii.*)

Dobre dziécie, day się uściskać (*Przyciska do piersi Zofią, ta go w rękę całuje.*) Twoja matka kiedy mnie osierociła porzuceniem; właśnie była w tym samym wieku co ty teraz. O gdybym nie był przymuszony od was odłączyć się, jakżebym sądził się bydź szczęśliwym! Lecz niestety.

Dobroczyn. (*Na boku*)

Ach! Teraz właśnie jest pora uspokoić sumienie Wal:.. (*Zastanawia się*) Nie... Zostawmy to czasowi.

Albert.

Co Pan mówisz?

Dobroczyn.

Ja? (*Szukając, co ma powiedzieć*) Dla okazania téy radości, którą serce moje w ten moment jest przeięte z waszego pogodzenia; jakżebym żądał opłacić za was pretensye; lecz sytuacya moja nie dozwala mi tego. Bądźcie jednak pewnemi, że wasze nieszczęścia wkródce swóy koniec wezmą, mam w Bogu nadzieję, że mi dopomoże wybawić was z niewoli, i powrócić na łono Familii.

SCENA XI.

Ci sami, MECHTYLDA.

MECHTYLDA.

Kwartalny z Żołnierzami przyszedł po Aresztantów.

WIRBUT.

Już tedy przyszedł czas! (*Wszyscy potrwożeni.*)

CHILARYA.

Przyszedł ten fatalny czas utracić na zawsze oyca w samym momencie odzyskania jego! . . Ach co za boleść uciska serce moje! . . Oycze móy. (*Padając na persi oyca.*) Obym cię mogła choć raz jeden jeszcze widzieć w życiu moim.

ALBERT, (*Przyciska.*)

Kochana Rozémundo! . . Córko moja.

MECHTYLDA. (*Zadziwiona.*)

Jego Córka?

ZOFIA.

Pierwszy raz w życiu moim ogarnoł serce moje tak ciężki smutek.

DOBROCZYN.

Panno Mechtyldo!.. Zosiu!.. Odprowadźcie Chilaryą do jéy Celi.

CHILARYA. (*Słabym tonem.*)

Tak jest,.. idę!.. czuję się bydź bardzo osłabioną... (*Z rozrzewnieniem.*) Przyymiy móy oycze jeszcze jedno uściśnienie, które może już bydź ostatnie. (*Sciskają się w wielkim smutku.*)

WIRBUT.

Panno Zofio!.. pamiętay o moiéy Zuzance.

CHILARYA. (*Do Mechtyldy.*)

Idźmy siostro!.. Zosiu!.. poday mi rękę. (*Odchodzi powoli prowadzona przez Mechtyldę i Zofią.*)

SCENA XII.

KWARTALNY, DOBROCZYN, WIRBUT, ALBERT, dwóch Dziesiętników, i dwóch Zołnierzy.

KWARTALNY.

No Mości Panowie czas nam wybierać się na wojaż. Eskarda dla Ichmościów już jest przeznaczona.

DOBROCZYN.

Niewczesne tam urąganie, gdzie się litować należy.

KWARTALNY.

Litować? Mospanie! gdyby przyszło litować się nad temi wszystkiemi, co przez nasze ręce przechodzą, to serca nasze stałyby się podobnemi do wywiędłych szczupaków. My przywykliśmy na wszystko oboiętnym okiem patrzeć, i nayczęściey smiejemy się z tego, nad czymby płakać należało. No! daley zabieraymy się.

ALBERT. (*Do Dobroczyna.*)

Gorliwość twoja Panie powróciła pokóy méy duszy! Teraz moja niewola niczym jest u mnie. (*Odchodzi, za nim dziesiętnik, i żołnierz.*)

WIRBUT.

Serce napełnione duchem Boskim! Za twoją o nas troskliwość, same Nieba tylko nadgrodzić ci potrafią. (*Odchodzi z drugim dziesiętnikiem i żołnierzem.*)

KWARTALNY.

Zaczekać na mnie u fórty! Mości Xięże!.. Podobno to WPana nazywają Dobroczynem?

DOBROCZYN.

Tak jest.

KWARTALNY.

Jakiś Pułkownik Dobroczyn tylko co posłał do Missyonarzów, dowiedzieć się o WPanu. On stoi na Rudnickiey Ulicy, w tym Domie, gdzie ja mam Kwaterę.

DOBROCZYN.

Co móy Brat przyiechał,.. Móy brat tu znayduje się? o co za szczęśliwość!

KWARTALNY.

Spieszże się WPan, żebyś go zastał; ponieważ nie ma tu więcey bawić nad parę godzin. Jedzie za bardzo pilnym interesem do Petersburga?

DOBROCZYN.

Bardzo dobrze, wdzięczen mu jestem za tę wiadomość. Proszę mi powiedzieć, w czyim on stanoł Domie.

KWARTALNY.

Pytay się WPan na Rudnickiey Ulicy o moją kwaterę, ja nazywam się Kapitan Chwatayko. Pamiętay WPan dobrze Kapitan Chwatayko.

DOBROCZYN.

Bardzo dobrze, będę pamiętał. (*Chce odchodzić, wstrzymuje się, i po małym namyśleniu powraca raptownie.*) Ach dobrze, że mi na myśl przyszło. Panie Kapitanie! bądź WPan łaskaw, wstrzymay się tu ze swemi Aresztantami póty tylko, póki ja nie powrócę od mego brata.

KWARTALNY.

A toż na co?

DOBROCZYN.

Ja proszę WPana!

KWARTALNY.

Ale jabym chciał wiedzieć przyczynę tego?

DOBRBCZYN.

Wszak tu idzie tylko rzecz o tysiąc Rubli.

KWARTALNY.

Prawda. Gdyby ta summa była złożona na Policyi, oni tego momentu są wolnemi: ale u nich ciężko podobno wymacać dziesięć kopiejek.

DOBROCZYN.

Opatrzność właśnie w samą porę z sy-

ła tu Brata mego, on mi nie odmówi téy summy, są okoliczności, dla których nie może mi odmówić. Resztę WPan rozumiesz.

KWARTALNY.

Rozumiem, WPan chcesz za nich zapłacić. No! to zastaniesz nas WPan na Policyi.

DOBROCZYN.

Ale na cóż ich publikować po ulicach?

KWARTALNY.

Nic to nie szkodzi, niech się troche przewietrzą.

DOBROCZYN.

Ja proszę WPana!

KWARTALNY. (*Spogląda na ręce Dobroczyna.*)

Nie, nie, tego nie mogę uczynić.

DOBROCZYN. (*Dobywa z pularesu siną Assygnatę i daje.*)

Dayże się zobowiązać.

KWARTALNY. (*Przyymuje niby niechętnie.*)

I... na co to było potrzebne. No mniéysza o to, mogę ich tu dziś na ca-

ſzy dzień zostawić. Obmelduię Horodniczemu, że Wirbut jeszcze słaby.

DOBROCZYN.

To jest mało, I jeżeli mi Bóg dopomoże wyrwać tych nieszczęśliwych z ich utrapienia, daleko więcéy go czeka. (*Odchodzi.*)

KWARTALNY. (*Nakrywa głowę*)

Wszyscy kraczą na stan Duchowny, a jak uważam, że i między Xiężmi znayduią się serca czułe i miłosierne. Lecz proszę mi pokazać stan i kondycyą, w któréyby się nie znaydowali ludzie różnego gatunku i ułożenia! Tylko że to jest prawie powszechną naszą przywarą, iż bardziéy zwykliśmy upatrywać cudze błędy, niżeli dobre uczynki.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Dekoracya ta sama, co w drugim Akcie.

SCENA I.

DOBROCZYN. (*Wchodzi zmartwiony*)

JEZELIM kiedy mógł nawet pomyśleć o tém, ażeby niewdzięczność i niepamięć uczynionego dobrodzieystwa, miała wziąć tak wielką przewagę nad umysłem brata moiego. Idąc za moim powołaniem, przed przyięciem téy sukienki, zrzekam się spadaiącego na mnie maiątku, i przyznaię na wieczność pod jego dziedzictwo: a dziś biednych tysiąca Rubli, setnéy cząstki wartości tego, com mu darował, wyżebrać u niego nie mogę... o Bracie móy! niewdzięczny Bracie!

SCENA II.

MECHTYLDA, DOBROCZYN.

MECHTYLDA.

Kapitan Walnicki żąda bardzo widzieć się z WPanem Dobrodziejem.

DOBROCZYN.

Powiedz WPanna, że teraz wcale nie mam czasu. Dnia jutrzeyszégo — tak jest... niech zaczeka do jutra, i niech nie wychodzi z sali. A WPanna staray się o to, ażeby przypadek dziś tu odkryty jak nayściśléy był przed nim tajony. Bardzo o to proszę.

MECHTYLDA.

Już on jest o wszystkim uwiadomiony, i to bardzo go uczyniło niespokoynym. Raz prosił, żeby do niego przywołano oyca Panny starszey, drugi raz prosił o ją samą: na koniec, gdy się dowiedział, że WPan Dobrodziey powróciłeś z miasta, przysłał prosząc, żebyś WPan Dobrodziey pozwolił widzieć się mu z sobą.

DOBROCZYN.

Niech więc przyydzie! Ale ostrzeż go WPanna, ażeby starał się zachować się jak nayspokoyniéy.

MECHTYLDA.

Bardzo dobrze (*Odchodzi.*)

SCENA III.

DOBROCZYN sam, potym WALNICKI.

DOBROCZYN.

O gdybym go mógł nakłonić do utajenia siebie na kilka dni przynaymniéy! Odkrycie się jego odnowiłoby zapewne nie zupełnie uleczone rany w sercach téy Familii... Boże!... jak ciężki jest stan Kapłana troskliwego w dopełnieniu swoich obowiązków.

WALNICKI. (*Wchodzi w ſzlafroku.*)

Mości Xięże! WPan znasz dobrze osoby zgubione moją zbrodnią, one znaydują się tutay, dla czegożeś to ukrywał przedemną?

DOBROCZYN.

O tém wszystkim dowiedziałem się dopioro po WPana wyznaniu. Ważne przyczyny wzbraniały mi uwiadomić go o nich, i teraz proszę WPana, utay siebie do jakiego czasu. Raptowne WPana wydanie się, ile w téy porze, może zrządzić bardzo szkodliwe wypadki. Pozwol mi wprzódy przysposobić Rozémundę na jego przyięcie.

WALNICKI.

Do jakiego czasu?.. A kiedyż będę miał sposobniéyszy czas przebłagania Oyca Rozémundy, tego biednego starca moją zbrodnią pogrążonego w przepaść? Jego dziś wyprowadzają z miasta, a piętno mego występku miałoby bardziéy zostać wyryte na sercu moim:... nie, tego nie przewiodę dłużéy na sobie, niech uzyskam przebaczenie!.. albo niech w miarę mego występku należytą odbieram karę!

DOBROCZYN.

Ktoś nadchodzi, uspokoy się WPan! na miłość Boską proszę go o to!

SCENA VI.

CHILARYA, DOBROCZYN, WALNICKI.

CHILARYA. (*Pogrążona w smutku.*)

Gdzie się tylko obrócę, wszędzie widzę przed sobą cień mego występku: na co tylko rzucę oko, wszytko mi wyrzuca upadek tego człowieka!.. Boże!... Wszakże on mi to przebaczył, i wyjednał u oyca mego odpuszczenie: dla

czegoż moje sumienie odpuścić mi niechce?

W a ł n i c k i.

Nieba, co za głos!

D o b r o c z y n. (*Do Walnickiego.*)

Choć moment bądź cierpliwym. (*Do Chilaryi.*) Odeydź WPanna Dobrodzika do swoiéy celi, ja tam wraz nadeydę.

C h i l a r y a.

To jest miéysce, gdziem poznała oyca mego, to jest mieysce, na którym uzyskałam u niego przebaczenie, na tym miéyscu niech przez resztę dni życia mego opłakuię moje wykroczenie.

W a ł n i c k i.

Tak jest: to ona sama, to jest Rozémunda. (*Postępuje chcąc rzucić się do nóg.*)

C h i l a r y a. (*Spogląda raptownie.*)

Zdradnicki! (*Pada bez zmysłów na ziemie.*)

W a ł n i c k i. (*Przerażony cofa się w tył.*)

Co za piorun raził serce moje!

DOBROCZYN.

Kto słyszy! . . ratunku! ratunku! (*Dzwoni póty, póki się nie pozbiegaią Zakonnice.*)

SCENA V.

DOBROCZYN, CHILARYA zemdlona. WALNICKI oparty głową o ściane w rospaczy. MECHTYLDA, i kilka innych Zakonnic.

ZAKONNICA. (*Wbiegając.*)

Co tu za hałas?

DRUGA ZAKONNICA.

Co się tu stało?

MECHTYLDA.

Dla Boga, Panna Chilarya bez zmysłów! ratunku! ratunku! (*Tu jedne podnoszą Chilaryą, inne dobywają flaszeczek i oblewają spirytusami, inne wybiegaią, i przynoszą wodę.*)

DOBROCZYN. (*Do Walnickiego.*)

Mospanie! ostrzegałem WPana, i prosiłem o cierpliwość.

WALNICKI. (*Porywając się*)

O cierpliwość!.. dość już i nadto długo byłem cierpliwym. Rozémundo!

Rozémundo! (*Pada do nóg Chilaryi.*)

DOBROCZYN.

To jest nad siły moje. (*Odchodzi.*)

MECHTYLDA.

Cóż to znaczy? (*Zakonnice w podziwieniu.*)

CHILARYA. (*Bardzo słabym i przerwanym głosem.*)

Ja na waszym łonie kochane siostry; wy krzątacie się koło przywrócienia mi zmysłow? dopuśćcie raczey utracić ich na zawsze!

WALNICKI. (*Podnosząc się.*)

Rozémundo! . . Rozémundo! . . (*Opiera się o kolano siedzącey Chilaryi.*)

CHILARYA. (*Postrzega i wzdryga się.*)

On tu! . . (*Odwraca się do Zakonnic, i mówi słabym głosem.*) Odprowadźcie mnie siostry do mojéy celi! . . Odprowadźcie go na jego łóżko.

WALNICKI.

Nie! . . nie odstąpię od nóg twoich, nie ruszę się z miéysca tego póty, póki nie otrzymam przebaczenia; albo nie usłyszę sprawiedliwego przeklęstwa.

CHILARYA.

Nie przeklinałem cię nigdy, odpuszczenie masz już dawno odemnie. A teraz o to tylko proszę, opuść te mieysca, a to jak możesz nayprędzey. Dopuść mi ukończyć życie już na schyłku będące!

WALNICKI. (*Wstaje.*)

Stanie się podług woli twoiéy. Odeydę,.. Ale pierwéy chcę widzieć oyca twego, i z jego ust usłyszeć móy wyrok.

SCENA VI.

Ci sami, ZOFIA, i wiele innych oboiéy płci sierot.

ZOFIA.

O Boże! co się stało?.. Moja matka umiera.

SIEROTY.

Nasza matka,.. nasza Dobrodzika!

CHILARYA.

Pódź córko moja!.. poznay oyca twego, kochay go i błogosław.

ZOFIA.

To móy oyciec!.. (*Wyciąga ręce do uściskania.*)

WALNICKI. (*Cofa się w tył*)

Oyciec?.. nie,.. niegodzien jestem tego słodkiego tytułu!.. Nie szpeć niewinnych rąk twoich o zbrodnia nie godnego ludzkiey społeczności.

SCENA VII.

Ci sami. ALBERT.

ALBERT.

Córko moja!.. przychodzę oddać ci ostatnie moje pożegnanie, już się rozstajem z sobą, a może na zawsze Moje dziécie, bądź spokoyną! twóy błąd jest ci zupełnie darowany. Ale twóy uwodziciel, gdzie się tylko znayduje; choćby już był pokryty mogiłą, zemsta Niebios niech go wszędzie ściga!

WALNICKI.

Zemsta Niebios niech się nad nim dopełni! Powtórz to słowo, jeżeli ci będzie dosyć na zaspokojenie twoiéy urazy!

ALBERT.

Co widzę?.. to on! to ten zbrodzień!.. Hą Furye piekielne, dodaycie mi siły, dodaycie mi sposobu do wywarcia méy zapalczywości na tym nie-

godziwcu! (*Chcę się rzucić na Walnickiego.*)

CHILARYA. (*Klęka i porywa oyca za rękę.*)

Oycze móy! . . miéy litość nademną! Wstrzymay twóy zapęd, a dopełniy twoje dzieło, odpuść mu!

SCENA VIII.

Ci sami, WIRBUT, ZUZANNA.

ZUZANNA. (*Za sceną.*)

Oycze móy! . . ja cię nigdy nie odstąpie . . . Ja się tu nigdy nie zostanę.

WIRBUT. (*Wchodzi na scenę, Zuzanka trzyma się jego ręki.*)

To bydź nie może, to bydź nigdy nie może . . . (*Do Chilaryi.*) Mościa Dobrodziko! . . Niech ją wezną demnie! . . Moście Panny, miéycie litość, przyimiycie ją! (*Zakonnice biorą Zuzannę między siebie gwałtownie, która nie puszcza się rąk oyca.*)

ZUZANNA.

O Boże moy! . . Boże móy! . . (*Wpada w słabość. Zakonnice ją odprowadzają w głąb Teatru, sadzą na krze-*

śle, starają się ją uspokoić. Zuzanna w ciągu scen następnych, zawsze osłabiona, bardzo rzadko powtarzą słowa.) Tatuniu!.. Oycze móy!

SCENA IX.

Ci sami, KWARTALNY, dwóch Dziesiętnikow, i dwóch Zołnierzy.

KWARTALNY.

Czyniłem, co tylko mogłem, dla przewleczenia im czasu, ale dłużéy już nie mogę; ponieważ dostałem burkę od moich zwierzchników. Wszelako, ta przewłoka na nic się już nie przyda.

WIRBUT.

Tak jest, na nic się już nie przyda, jesteśmy mu posłuszni.

KWARTALNY.

Ponieważ Xiędza Kapelana życzenie nie przyszło do skutku, więc miałbym sobie za występek zatrzymywać u siebie jego podarunek. (*Dobywa Assygnaty.*) Staruszku! weźcie to, zda się wam na drogę.

ALBERT. (*Przyymuie Assygnatę.*)

Bóg ci zapłać dobry człowieku!

KWARTALNY.

Idźmyż tedy.

CHILARYA (*Załamuje ręce.*)

Boże Wszechmogący. (*Pada na krzesło, opiera się o stół, i zasłania się chustką.*)

ALBERT. (*Do Chilaryi.*)

Byway zdrowa Córko nieszczęśliwa!.. (*Do Zofii.*) Bądź zdrowa dziecie niegodnego oyca. (*Bierze za rękę Walnickiego.*) Sprawco nieszczęść moich, przebaczam ci!..

WALNICKI.

O Nieba! spuśćcie na mnie piorun śmiertelny! albo ty ziemio pogrzeb mnie żywego w przepaści.

WIRBUT. (*Do Zofii.*)

Mościa Panno! ten raz ostatni proszę cię za tą sierotą. (*Całuje Zuzankę.*) Zuziu naymilsze dziecie!

ZUZANNA.

Tatuniu, miey litość nademną. (*Usiłuje wydrzeć się Zakonnicom, które jey nie dopuszczają.*)

Na teatrze powszechny smutek. Albert, Wirbut, Chwa-

tayko żołnierz i dziesiętnicy zabieraią się do odeyścia.

SCENA OSTATNIA

Ci ſami, DOBROCZYN.

DOBROCZYN. (*Niosąc list.*)

Zatrzymaycie się! zatrzymaycie się! Pokóy i radość niech zastąpią wasze smutki i udręczenia.

CHILARYA.

O Boże! coż to jest? . . (*Wstaie na pół z radością i pomieszaniem. Wszyscy zdięci ciekawością, zachowuią milczenie.*

DOBROCZYN.

Niech Bóg będzie pochwalon! . . Niech będzie błogoſławion!

KWARTALNY.

Cóż nam WPan przynosisz tak pociesznego.

DOBRBCZYN.

MosPanie Kapitanie! . . Oni są wolnemi.

ZUZANKA. (*Wydziera się Zakonnicom*)

O Boże!.. móy Tatunio wolny! (*Bieży do Oyca*)

ZOFIA. (*Ją przytrzymuje.*)

Zuzaneczko! Miéy trochę cierpliwości.

KWARTALNY.

Któż ich uwolnił?

DOBROCZYN. (*Podáje mu list*)

Czytay WPan ten papier, a tu się dowiesz.

KWARTALNY. (*Czyta podpis przeciągle.*)

„M. . . . m. . . . Biskup (*mówi*) Cóż mi ma Biſkup do roſkazania? wszakże ja mam moich Naczelników.

DOBROCZYN.

Ale przeczytay tylko WPan, a czytay głosno, potym czyń, co się mu podobać będzie.

KWARTALNY. (*Czyta.*)

„ Zapatruiąc się z czułością i ukon-
„ tentowaniem na wszyskie WPana po-
„ stępowania czyniące zaszczyt jego
„ powołaniu, niecierpliwie oczekiwa-
„ łem momentu nadgrodzenia mu, i po-
„ dania sposobności do łatwieyszego
„ pełnienia chwalebnych czynów, na

„ jakie serce WPana jest utworzone.
„ Od niejagiego czasu wakujące Probo-
„ stwo Kaplicy Kościoła Katedralnego
„ przeznaczyłem dla WPana. Taiłem to
„ jednak przed nim, póki zawikłany tego
„ probostwa fundusz nie został wydoby-
„ tym. Przyszedł na koniec ten pożą-
„ dany moment. WPan za swoie cnoty
„ odbierasz choć małą, ale z rąk czułego
„ Pasterza nadgrodę. Probostwo to nie
„ czyni więcey roczney intraty, nad
„ 3500. złł: czystey summy. Ten mier-
„ ny dochod może wystarczyć zawsze
„ na przyzwoite utrzymanie się rząd-
„ nego gospodarza. I pewny jestem, że
„ z niego wiele sierot i nieszczęśli-
„ wych będą mieli wsparcie, i wyba-
„ wienie.„

DOBROCZYN.

Boże! bądź pochwalon! Nie zawiodę zaufania łaskawego naszego Pasterza, i dziś pierwszy dam tego dowod.

WSZYCY.

Boże! bądź pochwalon!

KWARTALNY. (*Kończy czytać.*)

„ To Probostwo z przyczyny zawi-
„ kłanego funduszu kilkanaście lat wa-
„ kowało. Procenta stanowiące intratę

„ od tego czasu zaległe, a teraz zaliczone do niego należą, i dziś możesz je odebrać„. (*Składa list i mówi*) Znaiąc sposob myślenia Xiędza Kapelana, można się reszty domyśleć. WPanowie jesteście wolni.

CHILARYA.

O Naywyższa Istności!.. Bądź uwielbiona.

ZUZANKA.

Móy tatunio wolny? WPan go uwolniłeś?.. Niech mu to Bóg zapłaci. (*Pada do nóg Kwartalny*)

KWARTALNY. (*Podnosi*)

Nie mnie dziękuy moie dziecko, ja tu nic dobrego nie zrobiłem. To dzieło jest waszego Dobroczyńcy.

WIRBUT.

Cóż jest na świecie wyrównywaiącego jego dobroci!

ALBERT.

Któż żyjący jest w stanie zawdzięczyć mu należycie teraznieysze dzieło? Mospanie Kapitanie! (*Dobywa Assygnaty.*) Ten kawałek siniego papieru, dowodem jest jego czułego serca. To mi nigdy z pamięci nie wygaśnie.

DOBROCZYN.

Kawałek ſiniego papieru? znam go, i domyślam się reszty. Panie Kapitanie! szacunek dla niego na zawsze oświadczam.

KWARTALNY.

Proszę być na mnie łaskawym. Idę na Policyą i obmelduię o wszystkim. Do nóg upadam.

DOBROCZYN.

Proszę oświadczyć, że naydaley dnia jutrzeyszego, pretensya będzie uspokojona.

KWARTALNY.

Bardzo dobrze. (*Odchodzi z żołnierzami i dziesiętnikami.*

CHILARYA. (*Bierze rękę Kapelana i przyciska do piersi.*)

Dobry Panie!.. Spoyrzyy na te łzy! już ich nie smutek wyciska z oczów moich, ale radość i wdzięczność; i to jest wszyſtko, co mi pozostało do okazania ci winnego dziękczynienia.

DOBROCZYN.

Przyimuię to, iz strony WPanny Dobrodziki już jestem nadgrodzony. Was zaś wszystkich moi Panowie proszę!

ażebyście się nie zdobywali na żadne oświadczenia. Dopełniycie tylko moie życzenie, a dosyć mi będzie na tym.

W i r b u t.

Roskaż!

A l b e r t.

Roskaż Panie.

D o b r o c z y n.

Nic więcey nie żądam, tylko, ażeby wszystkie przeszłe zdarzenia zostały w wieczney niepamięci: a na mieysce żalów, urazy i nienawisci, niech nastąpi zgoda, przyjaźń i miłość. Panno Chilaryo!.. Albercie!.. zapomniycie waszey urazy ku temu nieszczęśliwemu! już on za swóy występek odpokutował. A ty Zosiu, spraw mu tę roskosz, i uściśniy jak oyca swego.

C h i l a r y a.

Jam mu już dawno odpuściła, i nie mam naymnieyszey urazy.

A l b e r t.

O Panie!.. czegożbym nie uczynił dla twoiey dobroci.

Z o f i a. (*Bieży do Walnickiego i całuie rękę.*)

Oycze móy!.. wzbraniałeś mi pier-

wey uściskać ſiebie, teraz mi nie wzbronisz tey roskoszy.

WALNICKI.

O szacowne dziecie!..

ALBERT. (*Postępuie do Walnickiego.*)

MosPanie Zdradnicki!.. pódź, uściſkay mnie, i bądź moim przyiacielem.

WALNICKI. (*Sciska i całuie rękę.*)

Oycze!.. (*Postępuie do Kapelana.*) Panie!.. Ty!..

DOBROCZYN.

Naymnieyszych oświadczeń, o to prosiłem. Proszę mi tylko odpowiedzieć na zapytania. Sumienie WPana jestże już spokoyne?

WALNICKI.

Tak, jak ſobie życzyłem.

DOBROCZYN.

Teraz pozostaią WPanu dwie drogi. Możesz ztąd oddalić się tam, gdzie ci tylko podobać się będzie, wsparcie zaś na drogę, ja przyrzekam od siebie. Wszelako, jeżeli nie masz pewnego funduszu, tedy życzyłbym zostać się w

tém mieście, i zapatrywać się na cnoty Córki swoiéy. O funduszu na życie, późniey pomyślemy.

WALNICKI.

Aniele Boski!.. Za życia Niebo mi dajesz!

ZOFIA.

O Panie!.. O zrządzicielu naywiększey roskoszy.

DOBROCZYN.

Po tobie Zosiu coś więcéy wyciągam, oto, żebyś mi wyznała szczerze, czy masz wolę bydź żoną Pana Walendon?

ZOFIA.

Zarządzenie mym losem, niech odtąd do ciebie Panie należy, o to tylko odważam się upraszać, żeby Zuzanka przy mnie została.

DOBROCZYN.

Bardzo dobrze. Zuzanka ma odemnie posag, a to jak tylko będzie można naylepszy, ja chce bydź jéy opiekunem.

ZUZANKA. (*Całuiąc rękę.*)

Ach Panie!.. a Tatunio zostanie się przy mnie?

DOBROCZYN.

Pan Walendon potrzebny jest do swego majątku rządnego gospodarza, jeżeli twóy tatunio przyymie ten obowiązek na siebie, może bydź pewnym sposobu do życia naylepszego.

WIRBUT.

Ja we wszystkim chcę ci bydź posłusznym, łaskawy Panie, i nic mnie więcéy nie obchodzi, tylko los staruszka Alberta.

DOBROCZYN.

Albert ostatek dni swoich może spokoynie przepędzić w tutéyszym szpitalu, i nasycać się roskoszą codzienną zapatrywania się na godną uwielbienia córkę swoją. Fundusz na jego życie, i inne wygody, ma z moiey kieszeni.

ALBERT.

Wyrazów mi nie staje do należytego ci podziękowania.

CHILARYA.

Boże! . . bądź pochwalon! . . Córko! . . (*Do Zakonnic.*) Siostry ! . . (*Do sierotek.*) I wy niewinne dziateczki, łączcie ze mną dziękowania waszemu Opiekunowi, a memu naywiększemu do-

broczyńcy! uwielbiaycie czyny jego! uwielbiaycie imie jego!

DOBROCZYN.

Uwielbiaycie Imie Boskie, i módlcie się za łaskawego naszego Pasterza! Bóg utworzył mi serce czułe i miłosierne, więc to jest jego dziełem, nie moim. Pasterz nasz natchniony duchem Boskim umie ceuić i nadgradzać dobre czyny. Bez jego terazniéyszey pomocy życzenia moie wniweczby się obróciły, a cała moja intencya ukończyłaby na moiéy chęci i umartwieniu z niemożności jéy dopełnienia. Po Bogu tedy, wszyscy radość naszą winniśmy łaskawemu Pasterzowi.

KONIEC DRAMA.